http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Egz. archiwalny IBL

KAZIMIERZ LASKOWSKI.

ŻYDZI przy pracy.

NOTATKI WIEŚNIAKA.

Odbitka z „Gazety Warszawskiej“.

WARSZAWA.
Skład główny w drukarni Rubieszewskiego i Wrotnowskiego,
Nowy-Świat, 34.

1896.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63
http://rcin.org.pl

Fundacji im. L. i. Michalskich
Ze zbiorów

Дозволено Цензурою.

Варшава, 17 Февраля 1896 года.

22.180

Druk Rubieszewskiego i Wrotnowskiego, Nowy-Świat 34.

http://rcin.org.pl

Żydzi przy *pracy!*
Nie wierzycie?
Posłuchajcie!

Że pracują — to fakt, że odmiennie od nas, to nie ich wina. Różnica wszędzie być musi, inaczej świat znudziłby się jednostajnością. Natury poprawiać nie należy, a jeżeli *wełna* ma kilka gatunków, dlaczegóżby *praca* mieć ich nie mogła?

Koń pracuje, ciągnąc piersiami, wół karkiem lub rogami; doktór głową, a potrosze ręką, badając puls chorego, adwokat gębą, grabarz rękoma i nogą, bo stopą naciska rydel... wszyscy pracują na swój sposób. A żydek? żydek nietylko, że pracuje, ale pracuje za *trzech,* handlując. Po pierwsze: *bada* szlachcica, jak doktór, czy mu potrzeba pieniędzy; powtóre — *gardłuje,* jak adwokat, „że więcej za pszenicę pod heirymem dać nie może“; po trzecie — robi czasem, jak grabarz, *grzebie* niewypłacalnego dłużnika... subhastując lub tradując go komornikiem.

http://rcin.org.pl

Omne trinum perfectum—mawiali starożytni mędrcy—gdzie jest troistość, musi być doskonałość, a do doskonałości dojść można jedynie drogą specyalnych studyów, rozwijających wrodzone uzdolnienie, wytrwałością i oddaniem się zupełnem powziętemu z góry celowi.

I w tym wypadku inaczej nie jest. Są studya, jest uzdolnienie, wytrwałość, cały kahał danych do pomyślnego rezultatu wiodących.

Prostym rozumem, zwyczajną główką takich rzeczy dokonać nie można, do troistej pracy potrzeba *terna* zalet.

A wiadomo, że *terno* nawet na loteryi jest rzadkością i na tysiące grających jednemu się trafi.

Są ludzie, którzy tego *terna* w żydowskiej pracy, co samej pracy nawet nie widzą. Ale jaka na to rada? Przecież przez tyle wieków świat głupi sądził, że ziemia stoi, a słońce kręci się koło niej przyświecając, choć było odwrotnie! Czy stąd wstyd dla ziemi lub dla słońca? Nie—dla tych, co tak myślą.

Tę uwagę astronomiczno-porównawczą wybaczą mi czytelnicy; podyktowała mi ją słuszność, zamiłowanie prawdy i skłonność do obiektywnych poglądów.

Analiza spektralna, jak mię uczono w szkołach, wykazuje, że biały promień słoneczny składa się z siedmiu barw, analiza żydowskiej pracy, gdyby ją jaki mąż uczony przeprowadził, niechybnie dowieść-

http://rcin.org.pl

by musiała, że praca ta ma nie siedm, ale siedemdziesiąt siedm podgatunków, rodzajów, zlewających się w jedną okrągłą całość.

Nie będąc mężem uczonym, nie jestem w stanie każdego z tych odłamów izraelskiego wysiłku opisać, z konieczności przeto poprzestać muszę na najwybitniejszych, tak jawnych i przekonywających, że z nich i o reszcie odcieni niejaki sąd wyrobić sobie można.

Przytaczam je w alfabetycznym porządku:

1) Handel towarami, zbożem, wełną, lasem, słowem wszystkiem, co ziemia daje, 2) faktorstwo, 3) pożyczanie pieniędzy na procenta, nietrafnie zwane „lichwą.“

Znów mamy *terno!* lecz o przeróżnych kombinacyach.

Trzymać się będę „głównych kierunków“, żeby zaś wykład uczynić barwnym i mniej zawiłym, zastosuję doń „metodę poglądową“ i, wybrawszy z każdego działu odpowiedni „model“, opiszę jego działalność, znajomość fachu, wykonanie podjętej pracy, opierając się zawsze na osobistej obserwacyi, własnem doświadczeniu.

Rzecz prosta, że rozpocznę od najgrubszej ryby—od handlu zbożowego, którego filarem w mojej okolicy jest Mordka Echt.

http://rcin.org.pl

Mordka Echt.

Jest między kupcami ładny zwyczaj, sięgający zamierzchłych czasów.

Ongi—kiedy to jeszcze na ziemi było przestrono, a ludziskom zachciało się w jakiej miejscowości budować miasto, zaprzęgali parę białych wołów do pługa, oborywali w około kawałek potrzebnego placu i granica gotowa... bez żadnej subiekcyi, bez rejenta, bez hypoteki.

Zwyczaj ten wygodny, prosty, w odmiennej nieco formie, przechował się jedynie wśród izraelskich kupców zbożowych, leśnych i wełnianych. Wprawdzie żaden z nich wołów nie zaprzęga i granicy nie oboruje, lecz treść pozostała ta sama.

Przywdziawszy podróżny garnitur chałatowy, młody kupiec, gdy stawia pierwsze kroki, siada na furmankę i objeżdża sobie kawałek powiatu, mniejszy lub większy, stosownie do gotówki, jaką zawiniętą w starej gazecie na piersiach wiezie.

W takim kawałku są dwie, trzy, cztery wioski—

http://rcin.org.pl

jak czasem. W wioskach mieszkają chłopi i po jednym szlachcicu z rodziną, jeśli jest żonaty.

Objechał, popatrzył, obliczył, ile kto wart, powiedział: „to moje“—i granica gotowa.

Trzeba tylko patent wykupić. Taki już czas. Za utrwalenie swych praw potrzeba koniecznie płacić.

Poszedł do kahału, opowiedział, co widział, zapłacił wpisowe i historya skończona. Teraz wszystko, co widział: dwory, chaty, chłopi, szlachta, lasy, pola, łąki... to jego warsztat, jego pole pracy, jego majątek.

Taki ładny zwyczaj nazywa się *hajzówką*.

Kiedy Mordka Echt, po odbyciu teoretycznych studyów na rynku pułtuskim, zapragnął nabytą wiedzę praktyką uzupełnić, „delikatną głowę w ruch puścić“, musiał również, według obyczaju praojców, *objechać granicę*, nabyć kawałek placu, na którym miał stanąć gmach przyszłej jego pomyślności, stawiany usilną pracą.

Traf zdarzył, że na tym placu leżała właśnie wioska waszego sługi, traf szczęśliwy—dodam—bo nastręczający sposobność naocznego i namacalnego „na własnej skórze“ zbadania pracowitej latorośli wybranego ludu.

Dzisiejszy pan Mordka Echt—ani podobny do tego dawnego Mordki!

Pamiętam, jak dziś, gdy pierwszy raz z paraso-

http://rcin.org.pl

lem w ręku zjawił się, przeprowadzony ujadaniem gończych, na ganku.

Ja jakoś nie miałem czasu, ale Mordka miał i czekał. Czekał godzinę, dwie... zjadł kilka obwarzanków i włóczył się za mną, jak cień po całem gospodarstwie, raz po raz pytając:

— Może jaśnie pan sprzeda kilkanaście par? może kilka korcy grochu? może ze dwie furmanki owsa? Ja dobrze zapłacę...

Znudzony, sprzedałem mu pięćdziesiąt korcy jęczmienia.

Wyjął pieniądze, zapłacił, nawet kontraktu nie żądał.

Mój Boże! jak się to czasy zmieniły!

Teraźniejszy Mordka niedość, że mię już „jaśnie panem“ tytułować przestał, ale i kontraktu wymaga, w dodatku na stemplu, żeby kotrawencyi w wypadku rozprawy sądowej nie płacić.

W jakiś czas później sam nabyłem kilkadziesiąt korcy owsa u sąsiada. Dobiliśmy targu w dwóch słowach. Już wtedy uderzyła mię różnica między jednem a drugiem kupnem. Ja załatwiłem się w mig, Mordka kupował u mnie pół dnia.

Czyż więc moja praca przy kupnie mogła się równać z jego *pracą?* czyż po sprawiedliwości wynagrodzenie obu prac winno być jednakie?

Przenigdy!

Mordka zarobił na mnie po pięćdziesiąt kopie-

http://rcin.org.pl

jek na korcu, lecz słusznie mu się należało. *Napracował się,* nagadał, nanudził, pół dnia stracił, a wiadomo, że czas to pieniądz.

Brak miejsca nie pozwala mi na skreślenie historyi działania Mordki Echta w całej rozciągłości, ale, jak *ex ungue leonem*, tak z jednej operacyi handlowej mego bohatera można już poznać, z kim się ma do czynienia.

Kto zaś, jak wasz sługa, przez lat dwadzieścia z rzędu miał sposobność przyglądania się przynajmniej raz na tydzień, w dzień jarmarczny, zabiegom, staraniom, przygotowaniom do „interesu“ pułtuskiego kapitalisty, ten, choćby miał głowę zamkniętą na cztery spusty, z konieczności poznać się na tem musiał.

Jeśli w każdym żydzie, jak to powyżej powiedziałem, siedzi kawałek doktora, to w Mordce siedział cały doktór i to pierwszej wody dyagnosta.

Rzecz prosta, że do tej doskonałości dochodził stopniowo przez badanie hypotek majątkowych, wpisów hypotecznych, ostrzeżeń, oraz przez poważne referencye o stanie majątkowym każdego pacyenta. Mordka wiedział na pamięć, ile który szlachcic ma długów hypotecznych, ile kieszonkowych, wiedział o wszystkich przypuszczalnych sukcesyach, znał wysokość posagów, wartość dożywocia; wiek i stan zdrowotny dożywotnika nie były mu nawet obcymi.

http://rcin.org.pl

Tego rodzaju wytyczne stale uzupełniał referencyami z poważnego pachciarskiego źródła.

Regestra gospodarskie okolicznych wiosek miał w głowie. Wiedział co do morga, ile na każdym folwarku zasiano oziminy, ile jarzyny, jak zrobiono w polu; znał obfitość zbioru i wydajność z kopy; wiadomem mu było nawet, do której stodoły jakie zboże złożono, który gatunek dostał się pod spód, a który na wierzch. Ostatnia wiadomość dostarczała mu wątku do wniosków, jakie zboże szlachcic najpierw młócić każe, a co zatem idzie i sprzedawać zamierza.

Po za tem w głowie Mordki Echta znajdował się jeszcze cały kalendarz różnych dat i terminów. Było w niej zapisane: kiedy p. Karol ma płacić matce dożywocie, kiedy p. Ignacy ma wnieść ratę bankową, ile p. Józef zaległ „Towarzystwu" (w tym celu dla „ogłoszeń" trzymał *Gazetę Warszawską),* że już o terminach ostatecznych wnoszenia podatków gruntowych i gminnych nie wspomnę. Nie dość na tem; Mordka, choć w zabawach i przyjęciach nie uczestniczył, wiedział napewno, kiedy wypadają imieniny p. Piotra, na które się cała okolica zjeżdżała, znał dzień urodzin p. Michała, obchodzony zawsze uroczyście, był nawet uprzedzanym o każdem polowaniu, o każdym baliku lub herbatce z tańcami.

Na co mu te wiadomości potrzebne były — to się później okaże.

http://rcin.org.pl

Rozporządzając takim zasobem wiedzy, rokrocznie uzupełnianej gruntownemi studyami, Mordka Echt, gdy mu się pacyent trafił, nigdy się w dyagnozie nie pomylił, z góry wiedząc, co komu i w jakich dawkach przepisać należy.

Rzecz prosta, że im choroba była gwałtowniejsza, im niebezpieczeństwo groźniejsze, tem recepta kosztowniej wypadała.

Bywało, przyjedzie przed św. Michałem p. Karol do Pułtuska, Mordka tylko nań spojrzał, już wie co mu brakuje. Pacyent ma płacić dwie raty „Towarzystwa“, zaległych podatków rubli trzysta, potrzeba mu jeszcze pięćset rubli na najem i dla służby, razem około tysiąc pięćset rubli. Pan Karol zwiózł pszenicę do stodoły z młocarnią, ma namłóconego ziarna sto korcy, będzie miał jeszcze sto pięćdziesiąt, sto mu braknie, bo p. Karol przyjechał właśnie sprzedać pszenicy 350 korcy.

To wszystko wie już Mordka i odpowiednią receptę pisze. Naprzód nie chce kupić pszenicy, wolałby żyto. Z pszenicą coraz gorzej, z każdym dniem spada, żadnego ruchu niema. Wolałby kupić żyto, byle zaraz zabrać, bo potrzebuje dla „mączarzy“. Pan Karol ma żyto, przyłożone owsem i jęczmieniem, więc żadną miarą młócić teraz nie może.

Mordka robi grzeczność—wygodę, kupi pszenicę, da połowę pieniędzy zaraz, po 4 rub. 50 kop. za

http://rcin.org.pl

korzec, drugą połowę przy odbiorze. Pan Karol nie może przystać, bo mu potrzebna cała gotówka 1,500 rubli!

Mordka wie o tem, więc „z dobrego serca“ przystanie, ale nie może dać więcej niż po 4 rub. 30 kop., a „na wypadek“, jakby pszenicy brakło, p. Karol musi mu niedobór pokryć, płacąc po 5 rub. za korzec niedodany.

Pan Karol nie chce. Ale Mordka wie, że on *musi* przystać, bo za trzy dni ma płacić podatki, a nikt inny nie zrobi z nim interesu, bo Mordka ma na niego *hajzówkę*.

Pan Karol przystał. Napisał kontrakt na 350 korcy pszenicy, z datą, wagą, na stemplu i z warunkiem przez Echta zastrzeżonym. Mordka wypłacił 1,500 rubli. Rozeszli się w zgodzie.

Teraz pytanie: dlaczego Mordka taki, a nie inny kontrakt kazał p. Karolowi pisać? Odpowiedź prosta: Po pierwsze, on wie, że nie odbierze w terminie 250 korcy, tylko — że za nie weźmie po 5 rubli i wycofa zaraz kapitału 1,250 rub., za resztę będzie miał 100 korcy pszenicy, której mu p. Karol nie odda, bo mu braknie, ale za to da mu kwit na 500 rub. i wypłaci mu procent (cztery na miesiąc) z góry za trzy miesiące. Po trzech miesiącach p. Karol znów nie będzie miał oddać gotówki; wtedy naodwrót, kwit przemieni się na kontrakt z „nowego“. Mordka kupi na „zielono“ pszenicę po 3 rub. za korzec z od-

http://rcin.org.pl

biorem z *pierwszej młócki.* Należy mu się 560 rub. z procentami przeszło, weźmie kontrakt na 184 korce pszenicy, nawet dopłaci do dwustu dla porządku.

Mordka wie to wszystko naprzód i dlatego nie straci, przeciwnie, zrobi dobry interes, bo za 250 rub., jakie mu u p. Karola faktycznie pozostały, odbierze wprawdzie w dziesięć miesięcy później—186 korcy pszenicy wartości 930 rubli, licząc po 5 rubli za korzec.

Ładny procent! ładne honoraryum! ale czy go Mordka Echt nie zarobił? Czy się nie *napracował*, aby się dowiedzieć dokładnie, kiedy i ile p. Karolowi pieniędzy będzie potrzeba?

Za taką udatną operacyę warto zapłacić.

Bywały operacye jeszcze trudniejsze; do takich należała przemiana gatunków zboża.

Czyż który przyrodnik, chemik, ba! elektrotechnik, nie wyjmując słynnego Edisona, zdołałby przemienić jęczmień w pszenicę, pszenicę w groch lub rzepak?

Tę arcysztukę wykonywał Mordka Echt z wielkiem powodzeniem.

Był to jego *majsterstück,* specyalność.

Kupił u p. Ignacego sto korcy pszenicy. Nieszczęście chciało, że pszenica zrosła. Trudno, nieszczęścia po ludziach chodzą, ale Mordka nie może być stratny. Obliczył, iż na czystej zdrowej kostromce miałby pół rubla na korcu co najmniej zysku.

http://rcin.org.pl

Zrobili z p. Ignacym układ. Pszenicy nie było, zgodny Mordka musiał brać co było pod ręką. Był jęczmień; tylko znów nieszczęście chciało, że jęczmień *nie płacił*. Ale Mordka, ryzykant, przystał i na jęczmień. Czasem to jeszcze i jęczmień przeobraził się w inne ziarno, w rzepak, owies... aż w końcu Mordka był zmuszony za pierwsze sto korcy pszenicy wziąć... okowitę.

Rozumie się, że ziarno, przepuszczone przez kontraktowy alembik z „dopiskami“, musiało swój *profit* przynieść, od tego jest spekulacya! Przyrosło trochę na jęczmieniu, trochę na grochu, resztę na rzepaku i okowicie; ale w tem nie wina Mordki, tylko przekropnego lata, mokrych żniw.

Najbardziej lubiał kupować Mordka, *to czego niema*.. Wiedział, że p. Józef już dawno owies wymłócił, że nie ma na sprzedaż ani korca, ale kupił „na przednówku“ 200 korcy. Dlaczego nie miał kupić? Pan Józef miał ładny kawałek lasu, czystą jeszcze hypotekę, było gdzie owies przechować. Nie odda w terminie, bardzo dobrze, Mordka będzie czekał; nie odda z „nowego“, jeszcze lepiej... Niech sobie owies rośnie! Mordka ma czas i cierpliwość, a las swoją wartość. W ten sposób Mordka Echt w lat sześć dochował sie z 200 korcy owsa dwóch włók ładnego lasu. Za las wziął parę tysięcy rubli, a że właśnie p. Józefowi potrzeba było pieniędzy, to cały zarobek utopił zaraz na 1-ym numerze hypoteki.

http://rcin.org.pl

Miał później trochę subiekcyi z odbiorem, musiał fatygować sąd okręgowy i komornika, ale koniec końcem odebrał swoje i nikomu się chyba owies tak dobrze nie opłacił, jak jemu.

Bywali jednak pacyenci nieuleczalni. Z temi Mordka nie chciał mieć nic do czynienia. Gdy się taki szlachcic trafił, najczęściej Mordki nie było w domu, a jeśli go już przypadkiem przydybał, to wtedy brakło mu czasu. W ostateczności Mordka Echt otwarcie przyznawał się: „że właśnie teraz nie ma pieniędzy“—i posyłał pacyenta do innych lekarzy: Chaima Krawata, Joska Endewelta lub Herszli Feinblata...

Pomimo biegłości Mordki, trafił się czasem pacyent z takiem zawikłanem zdrowiem hypotecznem, że trzeba było zwołać *consilium.*

Mordka wtedy prosił pacyenta o chwilkę cierpliwości i posyłał po „najtęższe“ głowy w całym Pułtusku.

Konsylium odbywało się w języku dla pacyenta niezrozumiałym, pełnym technicznych zwrotów i określeń: *a gunyś, kapcan, obe dues obe jenes* i t. d.

Przecież i doktór pisze receptę po łacinie!

Handel ma także swoją *łacinę—żargon.* Niektórzy lingwiści utrzymują, że to jest paskudztwo, nie język.

Nie mają racyi. *Żargon* jest śliczną, delikatną

http://rcin.org.pl

mową kupiecką, do interesu bardzo potrzebną. Z jej pomocą żydek z pod Pińska rozmówi się z żydkiem z Będzina, kupiec z Mławy zrobi spekulacyę w Berdyczowie, starozakonny z Jałty może pogawędzić z kupcem szczekocińskim; z taką mową może przejść świat cały i nie zginąć!

W Starym Zakonie napisano, że przy budowie wieży Babel wszystkie języki zostały pomieszane. Tak stoi w Piśmie. *Żargonu* wtenczas jeszcze nie było, więc on jeden nie został zmieszany i jest czysty, jak spirytus 96 próby! a że się zwyczajni ludzie na tem nie znają... trudno.

Na piękności języka naukowego nie wszyscy poznać się mogą.

Mniejsza zresztą o to, dość, że konsylium u Mordki Echta odbywało się w języku handlowym. Rezultat wypadał różnie, czasem wszyscy zgodzili się na jedno, czasem zdania były podzielone.

Jedni mówili: dać!

Drudzy: nie dać! *a gunyś!*

Wtedy zdanie Mordki przechylało szalę na tę lub ową stronę. Najczęściej godził on zwaśnionych konsultantów krótkim aforyzmem: „Dać, ale *z solidarnem poręczeniem.*“ Pacyent, wysłuchawszy wyroku, wracał do domu szukać poręczyciela. Znalazł—dobrze; nie—to trudno. Zdarza się przecież, że lekarz zapisze choremu Meran albo zagraniczne kąpiele, a chory nie ma pieniędzy i nie pojedzie.

http://rcin.org.pl

Czyż to wina lekarza, że pacyent leczyć się nie może?

Tak *pracował* Mordka Echt u siebie na miejscu.

Czasami wyjeżdżał Mordka Echt w objazd za interesami. Dawniej robił to często, poświęcając na ten cel trzy dni w tygodniu: poniedziałek, wtorek i środę. We czwartek, jako dzień jarmarczny, w piątek przed sabatem i w sabat siedział zawsze w domu, a w niedzielę przygotowywał się do podróży.

Teraz Mordka jeździ rzadko, wyrobił sobie już klientelę i woli przyjmować w domu, lecz dawnemi czasy, z lat młodych, często wizytował okoliczną szlachtę.

W podróży trzymał się Mordka stałej wypróbowanej metody, nie przyjeżdżał nigdzie naumyślnie, ale zjawiał się niby „przypadkiem".

Od kogo nauczył się tego systemu — niewiadomo. Prawdopodobnie od jakiego konkurenta.

Było w zwyczaju dawniejszych konkurentów, że gdy pierwszy raz jechali do panny, psuły im się koła, zdarzył się jakiś wypadek, sprowadzający pierwsze spotkanie. Po przypadkowem zaznajomieniu następowała urzędowa wizyta, kawalerskie *bywanie z zamiarem.*

Mordka Echt także zajeżdżał do szlachty po „kawalersku", jak konkurent do panny, z tą różnicą, że nie własną czwórką w krakowskich chomontach, ale najętą chłopską furmanką.

http://rcin.org.pl

Przed podróżą przeglądał tkwiące w głowie wiadomości, tworząc odpowiednie kombinacye.

U p. Stanisława za tydzień imieniny. Pewnie będzie bal — rozważał — trzeba tam zajrzeć. Zboża nie ma, ale możnaby „braki“ kupić. Po drodze wstąpi do Górki, obrachuje się — dziedzic z Górki lubi czasem naprzód sprzedać... potem do Dąbrówki; tam zawsze „krucho“, a mają ładny rzepak...

Ruszył w objazd.

Do dworu wprost nigdy nie zajeżdżał, zatrzymując się najpierw przed mieszkaniem pachciarza. Odbywszy z pachciarzem krótką konferencyę i uzupełniwszy pierwotne wytyczne najświeższemi wiadomościami, udawał się Mordka Echt do dworu.

Pierwsze słowa, jakie wygłaszał po powitaniu szlachcica, były rodzajem przedmowy od autora i brzmiały zwykle: „Przejeżdżałem przypadkiem, więc wstąpiłem, żeby się dowiedzieć, co u wielmożnego pana słychać...“

Jeśli szlachcic miał na sprzedaż pszenicę, to Mordka między innemi uprzedzał z miejsca, iż z pszenicą teraz bardzo źle, spadła. On sam stracił paręset rubli. Toż samo rozpowiadał o owsie, życie, jęczmieniu, słowem o tym produkcie, jaki się spodziewał kupić.

— Mówisz, panie Mordko, że żyto spadło?...— wtrącał zafrasowany szlachcic.—A ja właśnie chciałem ci ze sto korcy sprzedać.

http://rcin.org.pl

— Lepiej poczekać, wielmożny panie. Może będzie lepiej... Kto to może zgadnąć!? Ale dziś... kiepsko—zapewniał przybyły.

— Ba! poczekać! kiedy mi dyabelnie potrzeba pieniędzy...

Mordka wzruszał ramionami, jak człowiek, który na to rady nie ma. Wyjmował z kieszeni różne „próbki“, przytaczając cenę, jaką płacił.

— Zresztą — jeśli wielmożnemu panu gwałtem potrzeba... Niech będzie żyto! ale nie mogę dać więcej niż trzy ruble i tylko dla wielmożnego pana. W drugiem miejscu nie dałbym tego! *auf meine Munes!*

Zaczynały się targi. Mordka powoływał się na poprzednie, jeszcze tańsze kupna, wtrącając: „niech wielmożny pan spróbuje gdzieindziej. Może kto da więcej. Może Joel albo Mosiek Luft...“

Mordka wiedział dobrze, że żaden z wymienionych kupców, z którymi miał „cichą“ spółkę, zatargowanego przez niego żyta nie kupi, wiedział także, że szlachcic czekać nie może. Właśnie dlatego tak mówił.

Koniec końcem przychodziło do zgody. Mordka postąpił 7 kop. na korcu, zastrzegł sobie w kontrakcie, że żyto ma być „suche i dobrze doczyszczone“ i wyjeżdżał z kontraktem w kieszeni.

Ale co się to przy takiem kupnie *napracować* trzeba!

http://rcin.org.pl

Czasami bardzo rzadko — trafiał się Mordce szlachcic „twardy“, co miał jeszcze trochę gotówki i zbożem chciał po kupiecku spekulować, czekać lepszej ceny. Kto słyszał? trzymać stare zboże do nowego! czy to szlachecka rzecz?

Z takim była najtrudniejsza robota. Lecz i na to miał Mordka swój sposób. *Straszył.*

Przyjechał, o kupno ani słówkiem nie potrącił, tak przypadkiem... w przejeździe wstąpił. Szlachcic spytał: po czemu zboże? Mordka wtedy opowiadał, że między kupcami gwałt wielki, zboże coraz więcej spada. Podobno w Ameryce urodzaj niebywały, a w dodatku te Niemcy—słyszał od jednego kupca z Gdańska—mają jeszcze cło podnieść. I tak już za granicę nie idzie... a teraz to niewiadomo, co będzie! On sam ma tysiąc korcy pszenicy, kosztowała go po pięć rubli, teraz, żeby się kupiec trafił, sprzedałby bez zarobku... nawet ze stratą... bo później będzie jeszcze gorzej!

Straszył.

„Twardy“ szlachcic słuchał, a choć w gazetach nic o tem nie czytał, przypomniawszy sobie o dokładnych i szybkich relacyach „pantoflowej poczty“, zafrasował się zarówno projektem parlamentu niemieckiego, jak i urodzajem Ameryki.

— Dyabeł nie śpi!—myślał.—A nuż? Trzeba może sprzedać...

Mordka naprzód odgadywał myśli szlacheckie

http://rcin.org.pl

i zabierał się do odwrotu, aby tem silniej swą bezinteresowność zadokumentować.

Wtedy szlachcic sam od siebie zatrzymywał Mordkę i występował z propozycyą sprzedaży.

Mordka początkowo ani słuchać nie chciał! Powoli jednak miękł. Bo czegożby on „dla wielmożnego pana nie zrobił!"

Ryzykować—kupiecka rzecz. Mordka lubi ryzykować, choć wie, że straci, ryzykuje. Może się na czem innem odbije...

Rozpoczynały się zwykłe targi. Mordka wychodził, siadał nawet na furmankę, to znów wracał, wołany przez upartego czlachcica.

Ostatecznie po kilku wyjściach i powrotach następowała zgoda. Mordka kupił, ale pot kroplisty oblewał mu czoło, tak się napracował.

Przecież wiadomo, że jak człowiek drugich *straszy*, to się i sam trochę boi.

Jednakże największa *praca* czekała Mordkę, jeśli nieszczęściem zmuszony był wziąć się do... *grzebania*.

Była to nietylko robota, ale cała nieprzyjemność!

Przystępował też do tej akcyi z wielką niechęcią, po wyczerpaniu wszelkich środków układowych, kiedy przemiana gatunków zboża nie skutkowała lub „dopisywanie" mu się sprzykrzyło.

Wtedy rozpoczynał tę najtrudniejszą część pracy od generalnego obrachunku z klientem.

http://rcin.org.pl

— Bój się Boga! Mordka! skądże się tyle wzięło?—wołał przy obrachunku przerażony szlachcic.

— Skąd się wzięło? Pan dobrodziej żartuje... Łońskiego roku dałem pięćset rubli na pszenicę, na bezrok trzysta rubli na żyto... Na św. Jan kupiłem rzepak... dałem sześćset rubli na wełnę... Czy nie dałem? — rachował Mordka. — Pan dobrodziej ma krótką pamięć. To wszystko stoi napisane... Papier to święta rzecz!

Po tej przedmowie Mordka chował kwity i kontrakty do pugilaresu i, zwracając się do szlachcica, rzucał niewinne na pozór pytanie: *Co będzie?*

Takim bywał wstęp.

Co będzie? Mordka dobrze wiedział, „co będzie"—jeśli pytał, to tylko przez delikatność, dla zwyczaju.

W parę dni potem klient odbierał pozew z sądu, a następnie kopię wyroku, jeśli się dało, „z tymczasową egzekucyą." Robił się gwałt; szlachcic jechał do Mordki o prolongatę, ale go nigdy zastać nie mógł. Niepotrzebnie jeździł, bo wkrótce Mordka sam zjawił się u niego z komornikiem.

Pierwszy raz przyjeżdżał tylko tak na... strach. Jeśli szlachcic zapłacił koszta, dał mu kilkanaście korcy zboża na procent, to Mordka nie robił zajęcia, ale wracał spokojnie do domu.

Za drugim razem bywało gorzej. Mordka był bardzo zagniewany, nie chciał już czekać, nie chciał

http://rcin.org.pl

procentu, żądał choć połowy kapitału. Właśnie córkę wydawał za mąż, potrzebował na posag. Szlachcic nie miał. Wtedy Mordka prosił p. komornika o czynność...

Nieświadomi sądzą, że czynność zajęcia nie wymaga nauki...

A od czego „wyłączenie“? Mordka znał się na tem.

Nie zajmował też nigdy inwentarza roboczego, bo to jest nieruchomość z przeznaczenia, słomy nie tykał, zboże wolał wymłócone, niż w snopie, a najbardziej lubił „zajęcie“ we dworze. Meble, garderobę, czasem trochę srebra i biżuteryi pani. Bez takich rzeczy gospodarstwo obyć się może i „wyłączenie“ trudniej zrobić. Z inwentarza najbardziej lubił konie wyjazdowe, stadninę, owce, jałowiznę; fornalki „opisywał“ tylko z konieczności; ekwipaże, pojazdy, aparaty gorzelnicze bardzo mu przypadały do gustu.

Zdarzało się najczęściej, że Mordka z komornikiem zjeżdżali do szlachcica, gdy ten miał gości. Mordka, uwiadomiony przez pachciarza, z umysłu wybierał tę chwilę. Miał swoje wyrachowanie. Może który z gości zapłaci? może poręczy?

— Pan dobrodziej ma tylu znajomych—mówił wtedy—może który z panów... Ja będę czekał.

Prawda, że teraz „o dobre serce“ trudno i najczęściej nadzieja poręczenia zawiodła. Ale Mordka

http://rcin.org.pl

zrobił swoje; nie chciał szlachcica niszczyć. Skoro jednak panowie dla panów nic nie chcą zrobić — to cóż on, biedny żydek, na to poradzi!

Rozpoczynało się „zajęcie“. Mordka wzdychał od tej przykrości, ale do każdej szafy zaglądał, każdą suknię oceniał, komody pieczętował, kanapy, siadając, próbował.

Jeśli przypadkiem szlachcic miał jeszczę trochę zboża, a bardzo prosił, to Mordka jeszcze ustępował, a przynajmniej nie szedl do dworu, tylko w oficynie przy świadkach spisywał z komornikiem protokół dyktowanych przez szlachcica przedmiotów. Wierzył na słowo... Nie chciał robić „szykany“.

Ale to była dopiero połowa roboty. Przyszedł termin licytacyi, prolongował raz, drugi... trzeci. Nie było rady! dłużej już czekać nie mógł. Trzeba się było starać o licytantów, o furmanki pod rzeczy, czasem „cichy“ układ zrobić, żeby kto targu nie zepsuł...

Kto tego nie widział, nie może mieć pojęcia, co to za robota! A ile nieprzyjemności, że człowiek upomina się o „swoje!“ Czasem potrzeba potem wnosić skargę do sądu o obelgi wszystkich gatunków, czasem i tego nie można, gdy świadków niema.

Mordka do dziś pamięta i dzieciom opowiada, jak przyjechał do Wilczych Dołów z gotowym wyrokiem na pięćset korcy pszenicy.

http://rcin.org.pl

Dziedzic był kawalerem, mógł się jeszcze ożenić, więc Mordka z grzeczności chciał zrobić układ. Ludzki był. Przyjechał na noc. Dziedzic go prosił, żeby przenocował; obiecywał rano zrobić rachunek, zapłacić procent. Mordka nocował, rano poszedł do dworu. Szlachcic prosił go na herbatę do kancelaryi. Zasiedli obaj u jednego stołu, przyniesiono samowar, taki duży, że cały kahał mógł pić z niego. Wypili po jednej szklance, po drugiej, Mordka prosi, żeby zacząć rachować...

— Mamy czas! napij się jeszcze—mówi szlachcic.

Mordka wypił trzecią szklankę; szlachcic nalewa czwartą. Wypił czwartą, szlachcic leje piątą...

Mordka dziękuje.

— Pij piątą, proszę—woła szlachcic.

Mordka wypił jeszcze, ale miał już za dużo. Szlachcic leje szóstą.

Mordka nie chce. Szlachcic prosi gwałtem: „Pij, panie Mordka. Czy ci herbata nie smakuje?“ i drzwi na klucz zamyka. Mordka wypił szóstą, siódmą przy zamkniętych drzwiach. Szlachcic jeszcze nalewa. Mordka już nie może... mówi „że mu doktór zakazał.“

— Głupstwo! doktorzy!—mówi szlachcic, podsuwając ósmą szklankę.

Mordka już naprawdę nie może, ale szlachcic wyjął z biurka „coś“, z czego się strzela sześć razy,

http://rcin.org.pl

raz po razu, schowane w skórzanym futerale, i znów prosił Mordki, żeby pił. Sam mu nawet osłodził. Mordka spojrzał na to „coś“, wypił... i jeszcze wypił. W takiem miłem towarzystwie można wypić całą mykwę herbaty!

Dopiero przy piętnastej szklance szlachcic spytał o wyrok, zaczął układy. Mordka przystał na wszystko, bo potrzebował co prędzej wyjść na dwór. Podpisał prolongatę na cały rok bez procentu... a w dodatku przyjechawszy do domu, musiał posyłać po doktora.

Radzili mu, żeby dziedzica z Wilczych Dołów zaskarżył o „gwałt“. Nie usłuchał, bo gwałtu nie było... Szlachcic *prosił* tylko, żeby pił herbatę, a że drzwi zamknął, bo się bał przeciągów. Wprawdzie było „coś“ w futerale ze skóry, ale szlachcic sam mu później opowiadał, że to była *angielska rękawiczka.*

Zresztą nie było świadków, był dobrowolny układ w cztery oczy.

Czyż nie należy pracy, dokonanej z nadwyrężeniem zdrowia, uważać za ciężką?

Po tym wypadku Mordka Echt już nigdy sam nie jeździł na układy, lecz brał dla towarzystwa Kiwę Bobika, faktora, a nawet częstokroć zwierzał mu prokurę asysty przy „zajęciach“.

Niemniej trudnym, choć mniej niebezpiecznym wydziałem pracy Mordki bywała subhasta. Pracy

http://rcin.org.pl

tej chwytał się Mordka tylko w ostateczności, w obawie symulacyjnej sprzedaży lub spadnięcia z hypoteki. Najczęściej sumy hypoteczne ustępował. Jeśli jednak, koniecznością zmuszony, prowadził interes na własną rękę, wtedy starał się przedewszystkiem, aby licytacya nie szła zbyt wysoko, bo po co duży stempel płacić!

W razie relicytacyi, gdy się zjawił jaki zapalony konkurent, Mordka *puszczał.* Nie był łakomy na ziemię, chodziło mu tylko o odebranie swoich pieniędzy.

Fundacji im. J. I. Michalskich * Ze zbiorów

http://rcin.org.pl

Kiwa Bobik.

Co tam *faktor!*—pomyśleć ktoś gotów.

Przepraszam, faktor w interesie to grunt, a jeszcze taki faktor, jak Kiwa Bobik, to już nie *faktor*, to *osoba*!

Kiwę Bobika zna cały powiat, cała gubernia, a choć on nie jest kupcem żadnej gildyi, ma poważanie i szacunek, nawet w kahale zasiada.

Co Kiwa robi?

Na oko niby nic. Stoi przed zajazdem w Pułtusku i patrzy. Żołnierz na warcie także stoi i patrzy, pułk kawaleryi w asekuracyi dział postawiony także się z miejsca nie rusza, tylko patrzy, a proszę spytać, czy wartownik, czy pułk nie pracuje?

Kiwa Bobik pracuje na stojący, ale gotów zaraz i nogi, i głowę, i język w ruch puścić, skoro się interes trafi.

Bywało, przyjedzie szlachta na jarmark do Pułtuska. Ten chce sprzedać żyto, ten pszenicę, ów groch; jeden chciałby pożyczyć paręset rubli, drugi

http://rcin.org.pl

zborgować koniczyny do siewu, inny jeszcze szuka ekonoma lub pisarza prowentowego. Każdemu pilno, każdy chciałby jak najprędzej wrócić do domu. Pilna robota potrzebuje pomocnika; cztery ręce więcej zrobią, czworo oczu lepiej zobaczy. Kogo szlachta ma sobie wziąć do pomocy? może stangreta, zwyczajnego „grundala“ ze wsi?

Przysłowie mówi, że lepiej z mądrym zgubić niż z głupim znaleźć...

Przysłowia mądrością narodów. Jest jeszcze inne starsze, bo łacińskie przysłowie (widocznie i za rzymskich czasów istniała instytucya faktorów), opiewające: *tres faciunt colegium*, co się na polskie tłómaczy, że „do dobrego interesu potrzeba trzech osób“: szlachcica, kupca i faktora. Bez tego nie będzie *colegium*.

Tam, gdzie jeden chce pożyczyć, a drugi ma dać pieniędzy, gdzie jeden chce sprzedać, a drugi kupić, jeden żąda pięć, a drugi daje cztery, musi być koniecznie ktoś trzeci, co zrobi zgodę i *każe* brać półpięta.

Taką właśnie trzecią osobą jest *faktor*, taką bywał Kiwa Bobik, perła faktorów.

Czy to sprzedaż paruset par zboża, czy kawałka lasu, czy pożyczka hypoteczna, czy na prosty kwit, nic bez jego pomocy nie mogło przyjść do skutku.

Jeżeli Mordka Echt miał w głowie całą ency-

http://rcin.org.pl

klopedyę wiadomości, to Kiwa Bobik miał ją w poprawnem wydaniu z ilustracyami. Znał nietylko szlacheckie, ale i kupieckie interesa. Wiedział np., że Judka Majbaum wziął dostawę owsa dla wojska, że potrzebuje kupić kilka wagonów, wiedział również, że p. Ignacy potrzebuje pieniędzy na procent dla Nuchima Cwajkorna, wiedział także, że p. Ignacemu w tym roku owies się udał...

Z tych trzech wiadomości zrobił Kiwa jedną hurtową wiadomość. Najpierw doradził p. Ignacemu, żeby Cwajkornowi dał owsa w procencie, a następnie namówił Cwajkorna na sprzedaż owsa Majbaumowi. Zrobił wszystkim wygodę. Po pierwsze, szlachcic nie potrzebował szukać pieniędzy, dawał surowy produkt zamiast gotówki, mógł przeto o kilkanaście kopiejek na korcu taniej liczyć, powtóre Cwajnkorn odbierał procent bez kłopotu, bo się przed tem z Majbaumem o sprzedaż owsa umówili; po trzecie Majbaum bez kłopotu i jazdy po dworach, nabył potrzebną ilość owsa.

Od wszystkich trzech należało się Kiwie słusznie *faktorne*, ale że p. Ignacy doświadczył podwójnej grzeczności, że upiekł dwie pieczenie na jednym rożnie, bo i owies sprzedał i procent za jednym zachodem uiścił, przeto musiał podwójnie, od każdego interesu z osobna, zapłacić.

Mordka niewiele brał. Jeden procent od obrotu.

Po za grubym *geszeftem* robił Kiwa Bobik

http://rcin.org.pl

jeszcze pomniejsze grzeczności szlachcie. Stręczył służbę. Przecież najzawołańszy myśliwy nie gardzi drobną zwierzyną. Jeżeli nawet o sam strzał chodzi tylko, to trudniej trafić do dubelta niż do rogacza.

Ma Warszawa swoje kantory, ma „kontrolę służących“, Pułtusk tego wszystkiego nie posiada, ale ma za to Kiwę Bobika, w którego głowie jest osobny wydział stręczeń ku wygodzie mieszkańców okolicy.

Ma on zapisanych ekonomów, rządców, kucharzy, gospodynie, stangretów, lokajów, ogrodników. Wybór wielki, a że Kiwa wie, co komu potrzeba, odrazu więc odpowiedniego osobnika stręczy.

Pan Janusz płaci ekonomowi tylko sto rubli, więcej dać nie może. Kiwa ma właśnie takiego. Bardzo porządny człowiek, na roli się zna jak rzadko, nawet krew umie puszczać. Bardzo porządny człowiek.

— Będzie wielmożny pan z niego zadowolony — zapewnia — żeby chciał, toby mógł rządcą w dużych dobrach zostać, taki zdatny!

Ekonomowi zaś prawi na ucho:

— Niech pan bierze, co się trafia, tymczasem... Ja wiem, że pan nigdzie długo siedzieć nie lubi. Tymczasem dobre i to! Pensya wprawdzie mała, ale można dorobić... Ja pana poznam z Joskiem Szczypiorkiem, on z panem Januszem handluje... bardzo porządny kupiec i zna się na rzeczy.

http://rcin.org.pl

Potrzebuje p. Henryk gospodyni; zwyczajnie kawaler, do kobiecego gospodarstwa. Kiwa ma właśnie taką. Nie stara jest, nawet jej się dobrze za mąż trafiało, ale nie chciała... przywykła po dworach służyć.

Szukał p. Jan ogrodnika. Jest niedrogi, miał nawet patent ze szkoły ogrodniczej, ale zgubił. Nie potrzeba daleko szukać. Kiwa ma każdej służby dostatek, nastręczy, umówi, ugodzi, na stół, czy na ordynaryę i bez subiekcyi obie strony kontrakt piszą. Kiwa byle czego nie proteguje; jego ludzie mają zawsze dobre świadectwa, a że się czasem który w nowej służbie popsuje, trudno. Najlepszy koń znarowi się niekiedy.

Ulubionem zajęciem Bobika są także „sprawunki.“

Kiwa załatwia sprawunki na poczekaniu i z zamiłowaniem, nie dla zysku, dla rabatu... Boże uchowaj! ale przez dziedziczną żyłkę, przez atawizm handlowy. Jego ojciec miał sklep bławatny, ale zbankrutował. Kiwa sklepu nie ma, ale kupować, targować bardzo lubi i zna się na towarze, każdemu do gustu utrafi i wygodę niemałą zrobi.

Przyjechał dziedzic z Wydmuchowa do Pułtuska, miał na głowie tysiące interesów, szczęściem, że Kiwa przypomniał: „a nie ma wielmożny pan jakiego sprawunku?“ bo byłby na śmierć zapomniał o imieninach żony, o prezencie...

http://rcin.org.pl

Kiwa przypomniał. Zaczęli radzić... uradzili kupić na suknię. Kiwa podjął się załatwić sprawunek, skoczył na jednej nodze i za mały kwadrans czasu przynosi sztuczkę niebieskiej materyi, w najlepszym gatunku, z plombą zagraniczną.

Dlaczego wybrał niebieską? dlaczego nie żółtą lub różową?

Kto inny, człowiek bez gustu, bez delikatnego smaku, byłby może tak zrobił, ale Kiwa nie. On wiedział, że dziedziczka z Wydmuchowa ma ładne blond włosy, wiedział, że blondynkom w niebieskiem do twarzy. Jeśli więc solenizantka była zadowoloną z prezentu, czyja w tem zasługa, jeśli nie Bobika?

Czy uśmiech żony nie wart jest pół rubla, który Kiwa dostał za fatygę? Takie *znawstwo* warto dużo więcej! ale Kiwie o zapłatę nie idzie, tylko o honor, że szlachcie służy.

Miał też Bobik, w dzień jarmarczny zwłaszcza, niemało roboty ze „sprawunkami“. Głowę cukru, bańkę oliwy do maszyny, trzewiki dla dzieci, łańcuchy dla bydła, kilka funtów ładnej zrazówki, kamień mydła, czy bułek, wszystko *sprawiał* Bobik, a na wszystko czasu mu starczyć musiało.

Między jedną a drugą tranzakcyą zbożową, przy której jego obecność była konieczną, wypadał z *konotatką* na miasto, biegał od sklepu do sklepu i znosił do zajazdu paczkę za paczką z towarami. Nawet pomagał furmanom na wyjezdnem pa-

http://rcin.org.pl

kować. Na wszystko czas znalazł, czasami tylko, gdy nie mógł swego stanowiska faktorskiego przy tranzakcyi zbożowej opuścić, wyręczał się żoną, która także była znawczynią i handlowała losami.

„Na to kura grzebie, żeby wygrzebała“—mówi przysłowie, nic dziwnego przeto, że i Bobik przy tak usilnej *pracy* musiał mieć trochę dochodu. Każdy żyć potrzebuje.

Zazdrośni mówili, że Bobik ma już kapitał, ale on się zaklinał na wszystko, że ledwie wyżyć może. Miał dochód, to miał wydatki. Nie był łapserdak, potrzebował się ubrać porządnie, w atłasowy chałat, bo przecie nie z chamami miał do czynienia, tylko ze szlachtą. A na same buty co wydał!

Zresztą—co komu do cudzej kieszeni?! Miał, to miał, bo zapracował, cały powiat zaświadczy o tem i kupcy pułtuscy potwierdzą.

Takim był Kiwa Bobik, faktor, bliski kuzyn *Szlomy Süskinda,* najgrubszego pieniężnika w Pułtusku, którego biografię, pracowity żywot i usłużność dla społeczeństwa postaram się skreślić, w miarę sił i zdolności.

http://rcin.org.pl

Szloma Süskind.

Jeśli Mordka Echt i Kiwa Bobik w swej działalności publicznej potrzebowali skupiać ducha, aby omyłki nie popełnić, to praca *Szlomy Süskinda* jeszcze większej wymagała baczności, wprawy i szybkiej oryentacyi w położeniu, a to z tej przyczyny, iż interesanci jego nie mieli co sprzedać, ani za co kupić, a jednak przychodzili po towar, towar najlepszy, najdelikatniejszy, po pieniądze, innemi słowy, przychodzili zaciągnąć pożyczkę.

Przysłowie mówi: „nie pożyczaj, dobry zwyczaj"—ale Szloma Süskind miał za dobre serce, aby się tak egoistycznej maksymy trzymać. On chciał pożyczyć—ale chciał zarazem odebrać i w tem właśnie leżała cała trudność, całe ryzyko.

Ale „główka" poradzi na wszystko.

Przedewszystkiem Szloma Süskind miał sporządzoną całą listę obywateli, rodzaj rysopisu kredytowego, z którego jasno widział, co kto wart. Listę tę co rok uzupełniał: jednych wykreślał, drugich wpi-

2

http://rcin.org.pl

sywał, w „uwagach“ dopisując, na jaki termin i za jakim procentem pożyczka dana być może.

Na termin mniej zważał, lecz co do procentu był nieugięty, a że lubił równy rachunek, przeto oznaczał procenta bez ułamków, w cyfrach łatwych do mnożenia i dodawania.

Dwa, trzy, pięć, czasem sześć na miesiąc z góry; niżej dwu procent nie brał od nikogo z zasady, że i w tabliczce Pitogaresa rachunek dopiero od „dwa a dwa cztery“ się rozpoczyna.

Z takim, jak pieniądz, towarem prosić się nie trzeba; nigdy też Szloma po dworach nie jeździł, nawet na rynek pułtuski w dzień jarmarczny nie wychodził. Siedział w izbie, czytał książkę nabożną, wiedząc, że każdy do niego trafi.

Ale trafić do Szlomy nie było tak łatwo, choć dom jego znało każde dziecko w Pułtusku. Dlaczego? Zaraz opowiem.

Nim kto się dostał do Szlomy Süskinda, musiał się poddać sprawdzeniu tożsamości osoby, sprawdzeniu w dwóch instancyach.

Pierwszą instancyą był znany nam już Kiwa Bobik, on doprowadzał interesanta do drugiej instancyi, do żony Süskinda, zwanej przez szlachtę popularnie „ciotką“.

Kto się już do „ciotki“ dostał, mógł mieć niejaką nadzieję, że obietnicą „porękawicznego“ uzyska

http://rcin.org.pl

wstęp do kapitalisty. Czasem jednak pani Ryfka wręcz odmawiała:

— Niech się pan dobrodziej nie fatyguje, bo mój nie ma pieniędzy.

Jeśli jednak przyprowadzony osobnik był „dobry“, wtedy „ciotka“ prosiła siedzieć, wypytywała się o termin, o rozmiar pożyczki, o wysokość procentu i już obrobionego gościa wpuszczała do drugiej izby, w delikatnym żargonie anonsując mężowi o odbytych pertraktacyach.

Następnie Kiwa rozpoczynał adwokaturę.

Szloma Süskind po wysłuchaniu stron zaglądał jeszcze dla pewności do rysopisu, następnie rozpoczynały się finansowe kalkulacye.

Najczęściej nieszczęśliwy traf zrządzał, że Szloma jak raz *swoich* pieniędzy nie miał, ale że chciał koniecznie wygodzić, to da pieniądze nieletnich, które mu kahał w opiekę powierzył.

— Tylko, żeby jakiego kłopotu nie było — ostrzegał—bo ja potrzebuję oddać te pieniądze w terminie.

Upewniony, rozpoczynał przetarg o procent.

Gdyby Szloma miał swój kapitał, dałby z pewnością na dwa, nawet na półtora na miesiąc, ale to sierocy grosz, to cały majątek małoletnich, więc nie może brać niżej trzech.

Kawałek kredy ułatwiał rachunek.

http://rcin.org.pl

— Trzy procent od 500 rubli wynosi miesięcznie 15 rubli, a że pan dobrodziej potrzebuje pieniędzy na 6 miesięcy, więc przypada 90 rubli, że jednak pan dobrodziej procentu z góry nie zapłaci — mówił—to potrąciwszy równe sto rubli, ja dam panu dobrodziejowi czterysta rubli *bares Geld*, a kwitek będzie na pięćset.

Rachunek prosty, równy i rzetelny. Szczęśliwe dzieci, które takiego opiekuna dostały!

Szloma wiedział z góry, że szlachcic zgodzić się musi, przeto wyjmował weksel, nie oczekując odpowiedzi; Kiwa potakiwał, Ryfka potakiwała, zaczynało się pisanie.

Szloma weksel oglądał, piaskiem zasypywał, raz i drugi czytał, aż przekonawszy się, że żadnej omyłki nie ma, że najwyraźniej *stoi* napisane: „walutę w gotowiźnie odebrałem", wyjmował pieniądze i liczył. Dał trzy stówki całkowite, a czwartą „drobnemi", żeby szlachcic ze zmianą subiekcyi nie miał.

Teraz ciężko w Pułtusku sto rubli zmienić.

Czasem mu do ostatniej stówki brakowało dwa lub trzy ruble. Dołoży innym razem.

Szlachcic, mając „drobne", regulował swoje zobowiązania na miejscu. Dał pięć rubli Kiwie za faktorne, drugie pięć *ciotce* porękawicznego, a resztę trzysta dziewięćdziesiąt chował do kieszeni.

http://rcin.org.pl

Kiwa asystował mu do zajazdu, proponował „sprawunki", utrzymując, że „zrobił świetny interes."

— Na trzy procent! kto teraz daje! To tylko przezemnie zrobił Süskind dla jaśnie pana takie ustępstwo. On zawsze bierze pięć... Paskudnik!

Teraz pytanie, czy Szloma wziął trzy procent?

Dał naprawdę 395 rubli, a wziął od tego za pół roku razem z Ryfką 105 rubli. Rachunek szlachecki powiada, że to jest 36% rocznie, żydowskie sprawiedliwe obliczenie mówi inaczej. Ono mowi: jeśli 395 rubli daje na pół roku 105 rubli, to da na cały rok 210 rubli, a jeśli da na cały rok 210 rubli, to wypada od 100 rubli 53 ruble z kopiejkami.

Tak mówi sprawiedliwy rachunek Szlomy—ale on nie ma obowiązku nikogo uczyć matematyki, od tego są szkoły.

Zdarzało się jednak, że mimo protekcyi „ciotki", interesant pożyczki zaraz nie dostał. Szloma miał wątpliwości, potrzebował grunt zbadać dokładnie. Tłómaczył się wtedy przed szlachcicem, że na razie pieniędzy nie ma, że będzie *szukał* i na przyszły tydzień z pewnością obiecywał. Czasem „przyszły tydzień" trwał dwa i trzy tygodnie, dopiero gdy Süskind widział, że szlachcic już *doszedł*, że się na wszystko zgodzi, pieniądze się znajdowały, ale za swoje szukanie brał już nie trzy, ale cztery procent, zawsze na miesiąc.

http://rcin.org.pl

Szloma nie lubił rachować na lata, wolał krótszy termin. Rok to kawał czasu, a nie wiadomo kto jutra dożyje.

Do trudniejszych operacyj należały pożyczki na dwa podpisy. Trudno żyranta wozić w kieszeni. Wtedy Szloma, wchodząc w położenie, brał pełny weksel z jednym podpisem, dając zaliczkę, skoro zaś szlachcic przywiezie inny weksel z dwoma podpisami — niech będzie „mamy“ lub „żony“—obiecywał dopłacić resztę. Przywiózł szlachcić drugi podpis, najrzetelniej według umowy dopłacił; nie przywiózł, to już Szloma ryzykował, zatrzymywał pierwszy papier, ale nie dopłacał ani grosza.

Zaliczki nie przenosiły 25% wypisanej sumy. Duże ryzyko potrzebuje dużej nagrody.

Dzięki powyższym kombinacyom, Szloma nigdy stratny nie był, nigdy nawet od siebie szlachty nie procesował. Trafiało się, że dłużnik nie płaci; Szloma pisze list jeden, drugi, trzeci, w końcu donosi, że pieniądze były nie jego, że dłużej czekać nie może i *puści* w drugie ręce.

Takich „rąk drugich“ miał Szloma kilka par. Miał ręce Herszlika Grünbauma, Bajnisia Rozbitka, Majorka Gutenachta i wielu innych.

Ręce procesowały, posyłały komornika, urządzały licytacyę ruchomości i robiły wpis hypoteczny.

Gdy zrozpaczony dłużnik, otrzymawszy pozew, zjawiał się u Süskinda, ten ubolewał nad łajdactwem

http://rcin.org.pl

„rąk“. Odstąpił im weksel, to prawda, bo potrzebował pieniędzy, ale sobie wymówił, że będą czekać do „nowego“ z odbiorem pieniędzy, nawet im z „sumy“ ustąpił. Ale te paskudniki! nie dotrzymali słowa i poszli na sąd... Taki już świat, nikomu wierzyć nie można! Szlomie było bardzo żal, że się tak stało, ale poradzić nic nie może, bo zrobił formalną *cesyę*...

W ten sposób Szloma Süskind odbierał swoje pieniądze, nie narażając się szlachcie. Czy takie „złote serce“ nie warto nagrody? Czy kto może powiedzieć, że Szloma go stradował? że mu sprzedał inwentarz albo meble?

Gdy nadeszły czasy gorsze, gdy się w sądach coś popsuło i zaczęto obliczać procent choćby dopisany—kiedy się trafiły parę razy „świadki“ z zarzutem o lichwę... Szloma Süskind wynalazł nowy sposób nie naruszający ustawy przeciw lichwie i zrobił małą poprawkę w liście swych przypuszczalnych dłużników.

Wybrał najniepewniejszych i do nich właśnie swój nowy sposób stosował. Sposób był łatwy i prosty, bo każda wielka kombinacya odznacza się prostotą.

Potrzebował *niepewny* p. Hilary tysiąc rubli na trzy miesiące; z „nowego“ odda. Zgoda. Szloma pieniędzy da. Umówili się o procent. Pięć na miesiąc, to razem sto pięćdziesiąt rubli. Szloma wypłaci p. Hilaremu pozostałe ośmset pięćdziesiąt rubli, na-

http://rcin.org.pl

wet wekslu nie chce. Wystarczy zwyczajny papier na stemplu, prosty kwit, tylko mu p. Hilary napisze te słowa:

„Ja niżej podpisany przyjąłem od p. Szlomy Süskinda tysiąc rubli w gotowiźnie na przechowanie, jako depozyt, który obowiązuję się za trzy miesiące od daty dzisiejszej na każde żądanie zwrócić.“

Następował jeszcze podpis, data i koniec.

Süskind nie pożyczał, on tylko dawał w *depozyt* p. Hilaremu, bo się bał złodziejów i nie chciał pieniędzy u siebie trzymać. Jeśliby p. Hilary *depozytu* w terminie nie oddał, to już inna sprawa; „sprzeniewierzenie się“ i „roztrwonienie“, to nie jedna akcya, ale całkowite dwie akcye: cywilna i kryminalna.

Komentarz zbyteczny. Ktoby chciał w takie brudne sprawy wchodzić? Nikt. Dlatego też Szloma Süskind wiedział, że bez naruszenia ustawy o lichwie, bez „rąk drugich“, swoje pieniądze w terminie odbierze.

Wymyślić taki prosty, łatwy sposób, nie każdy może. Do takiego pomysłu trzeba mieć „głowę“ i dobrze ją naładować. A czy „łamanie głowy“ nie jest *pracą*, ciężką *pracą?*

. . . .

Wybrałem na „model“ najgrubsze ryby z pośród pracowników żydowskich z trzech najrarytniejszych gałęzi pracy, wybrałem zaś dla tego, że ol-

http://rcin.org.pl

brzymi rozmiar ich pracy, uderzająca zabiegliwość i fachowość, służąca za przykład innym, wszędzie naśladowców znajduje. Nietylko w Pułtusku, ale w Będzinie, Stopnicy, Tomaszowie, Rawie, Gostyninie, Łęczycy, Mławie, Chęcinach, wszędzie, „gdzie śliczny żargon rozbrzmiewa“, kwitnie zarazem praca takich Mordków, Kiwów i Szlomów.

Z kolei przechodzę do skreślenia mniej głośnych, choć niemniej wybitnych pracowników, których demokratyczne usposobienie skłania do *pracy* wśród ludu wiejskiego.

http://rcin.org.pl

Fajbuś Meloch.

Dla uniknięcia naśladownictwa, nie pójdę wzorem Korneliusza Neposa, który jak wiadomo, rozpoczynał życiorysy od rodowodu... *Hannibal Hamilcaris filius Cartaginiensis*...—lecz zdobywając się na oryginalność swojską i zaoszczędzając sobie zarazem niepotrzebnej fatygi, poprowadzę cię czytelniku pod trzy mosiężne talerze, abyś na własne oczy odczytał następujący szyld:

FAJBUŚ MELOCH
starszy felczer
Bańki i pijawki, suche i cięte.
SALON
Strzyżenie i golenie według
pierwszej mody.
Rwie zęby.

Wymowny ten szyld starczy za wszystkie legitymacye i daje niejako przedsmak człowieka, co

http://rcin.org.pl

herbowej tarczy używa. Wprawdzie na znaku firmowym z trzema mosiężnemi talerzami pominięto kilka biograficznych szczegółów, jak: puszczanie krwi, dyagnozya wad uwalniających od wojskowości, operacya wszystkich części ciała, tani sposób przyrządzania leków — lecz wejście do środka świątyni Hygei i ujrzenia z blizka całego aparatu leczniczego, dopełnia reszty szczegółów, które z powodów od Fajbusia Melocha niezależnych, nie mogły się na szyldzie pomieścić.

Postarałem ci się, czytelniku, o audyencyę na czwartek, w dzień jarmarczny, kiedy Fajbuś Meloch przez cały dzień *przyjmuje*.

Chodźmy.

Na środku obszernej izby stoi właśnie Fajbuś Meloch we własnej osobie, przyodzianej w poplamiony surdut z zawiniętemi rękawami. W ręku trzyma zegarek, patrzy i spluwa. Na drewnianym tapczanie leży krzyżem do góry baba, wzdychając żałośnie. Zupełny negliż górnej części kobiecej postaci pozwala nam dojrzeć plecy ugarnirowane szeregiem baniek.

Babina stęka, Fajbuś wodzi obojętnem okiem i spluwa raz po raz. Wreszcie zbliża się do tapczana i z powagą definiuje:

— No! Wojtkowa! będzie już!

— Jeszcze krzynkę — prosi stękająca baba.

— Chcielibyście, żeby wam za głupie 30 kop. cały kwartał bańki na plecach trzymać?

http://rcin.org.pl

— Choć jeszcze z paciorek! aż mi się ulży. Widzi mi się, że na prawym boku jeszcze nie zebrały.

— Dorzućcie 5 kopiejek.

— Kiej nie mam.

— No to dajcie kilka jajek. Nie bądźcie Wojtkowa skąpi. Pierwsze zdrowie jak pieniądze—wyrokuje Fajbuś i nie czekając odpowiedzi, wyjmuje z postawionego na tapczanie koszyka kilka sztuk kurzego owocu.

— Poleżcie sobie jeszcze chwilkę—mówi. — Ja tymczasem *poradzę* Jaśkowi.

I przy tych słowach zwraca się do świeżo przybyłego pacyenta.

— Co wam to, Janie? Czyście się, nie daj Boże! z kobietą przemówili, że wam tak gęba spuchła?

— Kaj tam! zębska bolą i tyla!

— *Fluks!* Zaraz zobaczymy. Siadajcie.

Usadowiony na drewnianym zydlu chłop roztworzył szeroko gębę i czeka na wyrok eskulapa. Fajbusiowi nie pilno. Zajrzał raz, zajrzał drugi, obcążkami postukał w zęby, aż chłopu świeczki w oczach stanęły.

— Źle, mój Janie! takich zębów jak żyję nie widziałem! Zwyczajnym lewarkiem nie wyjmie...

— To cóż będzie?—pyta zastraszony pacyent.

— A czy ja wiem... Chybabym wziął prawdziwy *angielski* instrument — pociesza po namyśle doktór.

http://rcin.org.pl

— A wejźcie, ino prędko! Bo aż mnie w ślepiach strzyka...

— A jak mi się zepsuje instrument, to kto zapłaci?

— Zapłacę! Fajbuś! zapłacę, jeno rwijcie bez targu...

— Dacie pół rubelka?...

— Tylko 40 kop.—targuje się jeszcze chłop.

— Taniej niż 45 kop. nie wezmę. Chcecie? dobrze. Wasza wola—upiera się Meloch.

— Niechże już będzie po waszemu! jeno nie żałujcie ręki—jęczy zmordowany bólem chłopek.

Rozpoczyna się operacya. Angielski lewarek niby kowalskie obcęgi, kierowany wprawną ręką Fajbusia, chwyta ząb delikwenta. Fajbuś przymróżywszy oczy ciągnie z całych sił, aż chłopu sustawy trzeszczą... Wreszcie głośne „*Oj! oj!* zwiastuje tryumf dentystycznej wprawy Fajbusia.

— Patrzcie, co za kieł!—chwali się operator, podając pacyentowi zakrwawiony szczątek.—Nie miało was bolić? Dziura na trzy palce...

— Oj! oj!—stęka właściciel kła.

— Nie jęczcie, Janie! tylko dziękujcie Bogu, żeście się z mojej łaski takiego rozbójnika pozbyli. A teraz dajcie pół rubelka i rzućcie tyłem ząb na piec. Gębę obwiąźcie chustą i jedźcie do domu.

Porada skończona. Fajbuś biegnie do baby.

http://rcin.org.pl

odrywa bańki, a tymczasem już i trzeci pacyent zjawił się po poradę—baba z małem dzieckiem.

Fajbuś obrzuca wprawnem okiem przybyłą włościankę, z odzieży wnioskując o wysokości dyet. Jeśli przegląd wypadł pomyślnie, podsuwa stołek, mówiąc:

— Siadajcie, gospodyni! a co to powiecie?

— Dziecko mi słabuje. Cosik mu się stało. Czy aby nie „urok“?

— Zaraz zobaczymy—mówi doktór—z całą powagą bierze maleństwo za rękę i bada puls patrząc na zegarek.

Pokręcił głową.

— Źle jest.

— Olaboga! radźcież co, panie Fajbuś!

— Zaraz. Co nagle, to po dyable. Z dzieckiem trudniej, niż ze starym, bo ono przecie nie powie co mu jest, trzeba wszystko we własnej głowie ułożyć... Mogą być „krosty“...— dodaje po namyśle.

— Adyć szczepione łońskiego roku—oponuje chłopka.

— To może zęby, albo z „pokarmu“. Pokażcieno gospodyni język...

Babina spełnia rozkaz. Fajbuś z namaszczeniem dotyka palcem, przygląda się różowym mięśniom chłopki, wreszcie z widocznem zadowoleniem wykrzykuje:

http://rcin.org.pl

— A co, ja zaraz mówiłem, że to z „pokarmu!“ Widzieliście wasz język? jak w błocie umazany... Choroba siedzi u was we wnętrzu, a dziecko z pokarmem ją wyssało. Ale na to jest rada. Dziecku dam miksturkę własnej roboty... „ulepek!“ będzie wasz kosztowało 18 kopiejek...

— Spuśćcie już na równe 15...

— Nie targujcie się, tylko słuchajcie! A wam postawię cztery „świeże“ pijawki pod piersiami, to tę gorycz z pokarmu odciągną...

— A możeby i dziecku?—proponuje chłopka.

— Dziecku nie trza! Będziecie mieli ulepek. Dawać po łyżce trzy razy dziennie; jak wam zabraknie, to przyjdziecie do mnie. No chodźcie do drugiej izby, tam wam „moja“ postawi pijawki i będzie po gwałcie... Zapłacicie 55 kopiejek z ulepkiem.

Chłopka w drodze do sali operacyjnej chciałaby się jeszcze targować, ale Fajbuś nie daje jej przyjść do słowa, popychając przed sobą.

— Nie barłóżcie! nie barłóżcie. Jeszcze wam drogo? świeże pijawki jak smoki!

Takich konsultacyj ma Fajbus w dzień targowy kilkanaście, a załatwia się z poradą szybko i wprawnie. Kołtun, strzykanie, kolka, choroby dziecięce, czy kobiece, wszystko to leży w zakresie medycznej wiedzy Melocha.

Między jedną a drugą operacyą, czy poradą ruchliwy medyk przemienia się we fryzyera i golibro-

http://rcin.org.pl

dę, bo przecież ma razurę. W odłamie tej pracy wyręcza się wprawdzie dwoma swymi „uczniami“, zdarza się jednak, że i własnej ręki dokłada, robiąc „poprawki“ po niedość biegłych elewach. Do golenia wprowadził Fajbuś swój system, oparty na podziale pracy.

Wiadomo, że golenie składa się z namydlenia i samego golenia, wiadomo również, że twarz męzka ma dwie strony, prawą i lewą, i że obie zarastają, a równocześnie golone być nie mogą.

Z tej zasady wychodząc, obsługuje Fajbuś swą klientelę w następujący sposób, zwłaszcza przy liczniejszym napływie klijentów bardzo wygodny, bo nie dopuszczający dezercyi. Usadowionym pod rząd brodaczom mydli jeden z uczniów najpierw jedną połowę brody, drugi zaś w miarę namydlenia goli, gdy się już z jednym policzkiem uporają, następuje odbiór zapłaty po *dwa czeskie* od sztuki, a następnie dopiero podobna operacya z pozostałą do golenia częścią twarzy. System powyższy ma podwójną zaletę: *a*) przeszkadza ucieczce klientów i zabezpiecza regularny wpływ honoraryów, *b*) daje możność nieomal równoczesnego wykonania podjętych obowiązków.

Nadmienić jeszcze muszę, że kunszt fryzyersko-balwierski doprowadził Fajbuś do wysokiej doskonałości, śledząc bacznie za rozwojem tego fachu i wymaganiami mody. A i uczniowie godnie sekundują

http://rcin.org.pl

pryncypałowi ku zadowoleniu siermiężnych dandysów. Strzygą na *polkę* i na *jeża*, na żądanie, za osobną dopłatą, podgalają karki, nawet wąsy całkowicie zeskrobują brzytwą, co u osobników, zażywających tabakę, ma pewne estetyczne znaczenie. Prócz tego „faworyty" i „baczki", nieznane dawniej między ludem, wprowadzone zostały przez pomysłowego Fajbusia na ozdobę włościańskiej twarzy. Początkowo konserwatyzm chłopski walczył opornie z tą nowością Fajbusiowej mody, lecz w końcu uległ prądowi cywilizacyi i w młodszej generacyi głównie golenie całej przestrzeni twarzy uważane jest za brak smaku i nieznajomość wymagań mody.

Jeżeli *praca domowa* Fajbusia położyła gruntowne zasługi w dziedzinie hygieny i ochędóstwa, to działalność po za domem stokroć więcej.

Wezwany do chorego Fajbuś, spełnia nietylko funkcyę najbieglejszych lekarzy, lecz i aptekarzy zarazem, biorąc z sobą torebkę, w której się mieszczą najskuteczniejsze środki lecznicze. Olej rycinowy, mięta, proszki na *womity*, pijawki, bańki—wozi Fajbuś od przypadku z sobą, mając prócz tego w kieszeni paltota środki lecznicze *sekretne*, swego wynalazku i wyrobu, których jedynie w *cztery oczy* w wielkiej tajemnicy udziela.

Świat jest zły, mógłby ktoś złośliwy zrobić denuncyacyę i gotowy kłopot! Za co? za to, że Fajbuś oszczędza choremu fatygi posyłania do apteki.

http://rcin.org.pl

Przecież te *środki*, złożone z cukru, mielonej kawy, magnezyi, cynamonu lub tureckiego pieprzu, nikomu zaszkodzić nie mogły—jeśli chory umarł, to pewnikiem z choroby, a nie z magnezyi lub pieprzu. Tak rozumuje Fajbuś, a że władza lekarska myśli inaczej, to nie jego wina.

Dawniejszemi czasy pisywał Fajbuś i recepty po łacinie, lecz teraz wobec zazdrości świata medycznego, dał pokój. Udziela porad tylko słownych, a w pismo się nie bawi. Po co drugich uczyć? po co ma ślad Fajbusiowej mądrości na papierze zostawać?

Po za *praktyką zwykłą* uprawia czasem Fajbuś i *medycynę sądową*, namawiając pobitego chłopka, między jednym a drugim okładem zimnej wody, do podania skargi o obelgi czynne na napastnika.

— Macieju!—przedstawia—powinniście iść do sądu. Za taką podkowę pod ślepiami, jaką wam Wicek zrobił, powinien najmniej dostać trzy tygodnie! Nawet nieładnie dla was takie rozbójstwo darować! A co wam kłaków napsuł, aż strach!

— Juścić wodził mię za łeb po izbie—opowiada opatrywany Maciej—ale i ja go dobrze za ożydla ścisnąłem...

— Co z tego! Kiedy on wam siniaków narobił. Gębę macie podrapaną, jak rzeszoto i za dwie niedziele się nie zagoi. Ja na waszem miejscu nie

http://rcin.org.pl

puściłbym tego. Chcecie? to sam zrazu „podanie“ napiszę i świadkiem będę jakoście pokrzywdzeni...

— Ha no! niechby tak było. Tylko opiszcie tego zbereźnika dobrze!

— Nie bójcie się! Za pół rubelka będziecie mieli *galante* skargę, a jak przyjdzie świadczyć, to pamiętajcie, Macieju, że każdego czas kosztuje...

— No! no! — potakuje, nakłoniony do rozprawy sądowej Maciej — niech tylko co *wyleci*, to ja nie od tego...

Chociaż powiedzieć można wogóle, że praktyka Fajbusia Melocha po za domem otoczona była niejaką tajemniczością, to w poszczególnych wypadkach sekret był tak ściśle przez medyka zachowany, że nawet Lejzorowa nie była doń dopuszczoną. Przezorność godna uznania, gdyż wiadomo, że babski język, długi język.

Do takich najzupełniej sekretnych czynności należało *sprawianie* przeznaczonych do poboru wojskowego popisowych.

Fajbuś, jako szczery miłośnik pokoju, rzecznik humanitarnych idei, o ile uznawał rozlew krwi z pomocą baniek ciętych lub puszczadła za pożyteczny dla dobra ludzkości, o tyle brzydził się bagnetem, szablą, kulą i innemi narzędziami, służącemi do tegoż samego celu. Ożywiony tak podniosłem uczuciem, z największą chęcią śpieszył radą i pomocą

http://rcin.org.pl

każdemu, kto się pragnął od zetknięcia z karabinem lub armatą uchylić.

Jak zegarmistrz, znający każdą sprężynę zegarka, potrafi czasomierz w ruch puścić lub zatrzymać, tak Fajbuś zatrzymywał zdrowie na życzenie interesowanego, aby go od większego kalectwa uchronić.

Środki, jakich używał do wzbudzenia objawów niezdatności, nie zawsze prawie odnosiły skutek co do ostatecznego celu, lecz o to Fajbusia winić nie można. On chciał dobrze, gdy *sprawił* kogo, to zaszczepiona wada na całe życie w organizmie pozostała, ale uparta komisya czasami i wadliwych brała.

Ostatecznie prawda wyznać każe, że po kilku mniej pomyślnych operacyach i dwóch denuncyacyach, Fajbuś przestał przykładać się czynnie do utrzymania pokoju europejskiego, w rzadkich jedynie wypadkach, gdy o współwyznawcę chodziło, i to za sutem honoraryum, podejmując się niekiedy na własne ryzyko rozbrojenia.

Odsunąwszy się od dzieł wojennych, rozwinął Fajbuś tem większą działalność sanitarno-fryzyerską w okolicy, kładąc główny nacisk na rozpowszechnienie wyrabianych własną ręką specyfików.

Napływ młodych lekarzy, dozór apteczny i zazdroszcząca zawsze powodzenia zawiść ludzka i na tem polu stawiały Melochowi przeszkód niemało. Umiał je jednak obchodzić, jednając sobie klientelę

http://rcin.org.pl

„delikatną mową“, pewną poufałością z chorym, a nadewszystko jakością honoraryów, stosowaną ściśle do możności chorego.

Nie upierając się gwałtem przy gotówce, brał, co było pod ręką, jaja, kury, gęsi, ćwiartkę zboża, korczyk kartofli, uprzystępniając w ten sposób biednej klasie poradę lekarską.

Szczegół to charakterystyczny, świadczący o dobrem sercu Fajbusia Melocha. Przytaczam go zaś dla pamięci i nauki potomnych na tem miejscu, w przewidywaniu, że biografii mego bohatera ani *Medycyna*, ani *Gazeta Lekarska* nie pomieści.

http://rcin.org.pl

Lejzor Gang.

Znawca ludu niepośledni, miłośnik zabaw ludowych, Lejzor Gang, ma w narożnym domu w rynku bardzo ładny zakład z piwem, wódką i porterem, ma zajazd i dwa numera dla gości. W Galicyi podobny Lejzorowemu zakład nazwanoby pewnie „kasynem“, u nas zowią poprostu szynkiem. Lejzor jeszcze z dawnych czasów, kiedy propinacyę i karczmę w Kozichłapkach trzymał, zna smak i gust chłopski, rozumie również, że po pracy rozrywka każdemu potrzebna, pojmuje przytem całą filozofię przysłowia „na frasunek dobry trunek“ i rad jest, gdy się ludzie weselą, zalewając robaka.

Zakład swój zaopatrzył w najrarytniejsze wyroby wszystkich dystylarni i browarów. Od prostej siwuchy do wiśniówki lub malinówki, od zwyczajnego piwa do angielskiego porteru, wszystko jest. Dobór przekąsek wielki: śledzie zwyczajne i wędzone, ser pokrajany w kawałki, jaja na twardo, gęsina

http://rcin.org.pl

w kawałkach, nawet „koszerna“ kiełbasa! Czego dusza zapragnie! Jest w czem wybrać.

Jako gościnny gospodarz, znający przytem upodobanie swych gości, wie Lejzor, co komu podsunąć, co zachwalić. Panu pisarzowi proponuje szklankę porteru, wójtowi kieliszek „prawdziwej szabasówki“, płeć piękną raczy „słodką“, dla furmanów, lokajów, kucharzy, o więcej zepsutem podniebieniu przez styczność z dworem, ma „krople“, nadające przedziwny smak „czystej“ — dla gospodarzy okowitę z pieprzem, dla zwykłego *plebsu* tańszy gatunek wódki po 3 kopiejki kieliszek. Usługa szybka i akuratna, a zakąska—palce lizać!

Nic przeto dziwnego, że odbyt jest, zwłaszcza, że Lejzor robi swym klientom możliwe ułatwienia.

Tantniejszym daje na „borg“, na prostą kredę, czeka od jarmarku do jarmarku, a nawet i dłużej; mniej zasobnym nie odmawia również, choć należność swą zabezpiecza w realniejszy sposób.

Dla uprzystępnienia najuboższej klasie rozrywki, utworzył Lejzor „lombard prywatny“ na zastaw ruchomości. Instytucya ta mieści się w olbrzymiej skrzyni, ustawionej obok szynkwasu. Funkcyę taksatora spełnia najstarsza latorośl rodu Gangów, modrooka Małka, wydając kwitki lub ustną decyzyę o wartości, zamienionej na ilość półkwaterków. Wypłata ma miejsce przy szynkwasie.

W Lejzorowym lombardzie nie ma wprawdzie

http://rcin.org.pl

drogocennych klejnotów, ale znajdzie się sierp żniwiarza, oceniony na dwa kieliszki wódki, piła tracza, wartości całej kwarty okowity, chustka chłopki, buty, sukmana, siekiera, kożuch, nawet dokumenta legitymacyjne, brane w zastaw od zamiejscowych wyrobników.

Wszystko to przemienione zostało na walutę „płynną,“ czasami z niewielkiem *ażiem* przekąsek.

Niedościgniony w jednaniu sobie klienteli, cieszy się Lejzor Gang, zwłaszcza w sferze furmanów i stangretów, zasłużonem uznaniem, wyrobił je zaś sobie mądrą taktyką postępowania. Każdy furman, zajeżdżając do Lejzorowego zajazdu, dostaje z urzędu *gratis* kieliszek okowity z chałą. Taka grzeczność nie może zostać bez nagrody. Gdyby było inaczej, świat gotów stracić grunt do dobrego uczynku.

I Lejzor znajduje nagrodę... w owsie. Wiadomo, że szkapy przy gołym żłobie stać nie mogą, że popas popasem, ale i koń może nie mieć apetytu. Po co przymuszać nieme stworzenie! Przywiózł stangret z Biedniakowa ćwiartkę owsa, szkapy nie dojadły, zostało ze cztery garnce, toć się przecie nie opłaci brać z powrotem do domu... a u Lejzora w śpichrzu miejsce się znajdzie. Czasem który z furmanów potrzebuje dobrać cztery garnce owsa dla pary cugantów, ale jak dwa zjedzą, to także będzie, nie ustaną, a błogo, że się człek przy gadzi-

http://rcin.org.pl

nie pożywi. Dla dziedzica także jedność, bo tylko za cztery garnce zapłaci wedle dyspozycyi...

Tym podobne uprzystępnienia materyalne, nie będące bez wpływu na ogólny obrót handlowy, wyrabiały Lejzorowi prócz tego dobrą markę, a zakładowi renomę pierwszorzędnego miejsca rozrywki. Renomę tę podtrzymywał Lejzor umiejętnem obchodzeniem się z gośćmi, uwzględnianiem niektórych przywar ludzkich, a nadewszystko niezwykłą osobistą ochoczością do zabaw i traktamentu.

Sam dawał dobry przykład, początek. Bywało—zajdzie do szynku gromadka chłopów, coś radzą, gwarząc, namyślają się, widocznie mają coś na wątróbce, ale im do picia nieskoro.

Lejzor czeka, a gdy sytuacya nic się nie zmienia, woła na jednego z przybyłych:

— Walanty! Co to wam jest? Tacyście smutni! Czy przypadkiem „wasza" nie chora?

— Ej nie! Zwyczajnie gospodarskie sprawy— zwierza się interpelowany.

— Czego się martwić. Bieda?! nie za nas się zaczęła, nie za nas się skończy. Pluńcie na wszystko Walanty... Wiecie, co wam powiem? Mam „szabasówkę", „cymes"! Spróbójcie! Ja stawiam...

Przy tych słowach zdejmuje z górnej półki pękatą butelkę, leje w kieliszki i przepija do chłopa.

— Za wasze zdrowie, Walanty!

— Pijcie na zdrowie, Lejzor!

http://rcin.org.pl

Pod wpływem poczęstunku rozjaśnia się twarz chłopska, smutek i frasobliwość ustępują miejsca ochocie.

— No, to teraz dajcie dla mnie kwartę, tylko mocnej i śledzia na przegryzkę, wypijewa z kumotrami.

Lejzor wiedział, że tak będzie, bo najtrudniejszy początek. Odmierzył kwartę okowity, włożył kilka dzwonek śledzia na miskę i postawił przed chłopską gromadką. Pijatyka rozpoczęła się na dodre; po Walentym, „żeby nie ostać w tyle,“ krzyknął o kwartę Franciszek, po Franciszku Maciej i tak w kółko. W dwie godziny pękł cały garniec okowity, wesołość zastąpiła smutek i gromadka chłopska, która weszła do szynku spokojnie, cicho, dzięki dyplomatycznej zachęcie Lejzora, opuszcza gościnny zakład buńczucznie, z gęstą miną zataczając na podsieniach esy floresy i pośpiewując z całego gardła:

„Z karczmy idę, pijany jo,
„Otwórz, babo, kanalijo!
„Ha! ha!

Czarodziej! istny czarodziej z tego Lejzora!

W święta i dni jarmarczne rozwijał Lejzor Gang swą działalność do rozmiarów przechodzących siły zwykłego śmiertelnika. Dopomagała mu w tem co prawda cała rodzina, ale główny kierunek spoczywał w jego ręku. Biegał po szynku od gromadki do gromadki, od Kuby do Maćka, od Wojtko-

http://rcin.org.pl

wej do Marcinowej, tu zagadał, tu wódki dolał, tu należność odebrał. Znał swoich gości z imienia i z nazwiska, więc mu to z łatwością przychodziło, a delikatne przemówienia kończył zwykle:

— No? każecie jeszcze co postawić?

— Niech-by i tak było. Dajcie kwartę okowity — odpowiadał zwykle wdzięczny za pamięć chłopek.

Lejzorów szynk śmiało przyrównać można do... giełdy uczuć ludowych. Cokolwiek zrodziło się w duszy chłopskiej, znajdowało tu ujście. Tu wstępowały weselne drużyny, tu oblewano po raz ostatni wspomnienie nieboszczyka, cieszono się po chrzcinach, tu rozbierano przed osądzeniem różne sprawy *in merito,* tutaj po sprawie zwaśnione strony przepijały na zgodę lub brały się za czuby przed apelacyą.

Ostatniej ewentualności, jak każdy zresztą człowiek dobrze wychowany a spokojny, nie lubił Lejzor Gang. Wpadał też zwykle między zbyt krewkich gości, wrzeszczał, gadał, czasem jedną ze stron wojujących wyrzucał za drzwi, a gdy i to nie pomogło, wysyłał modrooką Małkę po pomoc zbrojną, po strażnika.

Najczęściej jednak Lejzorowa wymowa i czynna interwencya odnosiła pożądany skutek, wylew wrogich uczuć tonął w półkwaterkach słodkiej lub pieprzówki, pozostawiając po sobie jedyny ślad

http://rcin.org.pl

w siniakach, podbitych oczach, podartych koszulach lub naderwanych sukmanach.

Podwoje Lejzorowej gospody, otwarte od godziny piątej rano do dziesiątej wieczorem, z wyjątkiem soboty—uchylały się dyskretnie i nocą dla tajemniczych gości, widocznie jednak dobrych znajomych gospodarza, bo się z nimi w osobnym alkierzu zamykał i naradzał.

Nad czem? tego dokładnie nikt nie zbadał. Źli ludzie pletli, że Lejzor lubi czasem kradzione kupić...

Ale gdzie świadki?

http://rcin.org.pl

Uszer Spokojny.

Jeśli prawdą jest, że popyt i podaż, produkcya i zbyt wspierają się wzajemnie, to bez pochlebstwa powiedzieć można, iż Uszer Spokojny hodowli krajowej zasłużył się niepomiernie.

W pięciomilowym od Pułtuska promieniu nie ulęgła się żadna sztuka bydła, czy to w dworskiej, czy chłopskiej obórce, o którejby Uszer nie wiedział i dla którejby zaraz zbytu nie obmyślił.

Można również z zupełną pewnością twierdzić, iż każde bydlę, z wyjątkiem padłych naturalną śmiercią (i to nie zawsze), kończyło żywot doczesny w jatce Uszera lub co najmniej, za jego wiedzą.

Wyrażając się mniej obrazowo, skupiał się w piegowatych dłoniach Uszera cały handel bydłem wyhodowanem w okolicy w stanie żywym i znaczna część tegoż w stanie martwym pod postacią koszernego i trefnego mięsa.

Rzecz prosta, iż tak olbrzymi zakres pracy przechodził siły pojedynczego człowieka, przytem bydle,

http://rcin.org.pl

jako towar chodzący, mogło się przedostać po za linię demarkacyjną Uszerowej działalności, aby więc tego uniknąć, zawarł on z ościennymi współwyznawcami konwencyę handlową, w moc której sztuka przezeń *zatargowana* i oceniona, przez nikogo innego kupioną być nie mogła.

Konwencya ta obowiązywała na wszystkich jarmarkach i targach w miasteczkach i osadach okolicznych.

Jako kompensatę za ten przywilej—Uszer nawzajem nie psuł targu drugim, lub pokrywszy własne zapotrzebowania, ustępował prawo pierwszeństwa bez pretensyi.

Bywało w dzień targowy chodzi Uszer po placu bydlęcym między szeregiem powiązanych za rogi krów, ciołków, pomiędzy szermiężnymi hodowcami. Chodzi i patrzy. Upatrzył wreszcie graniastą krówkę, upasioną na miedzach i wygonach. Podszedł, pomacał na karku, pociągnął za wymię, obejrzał rogi i zęby, poklepał, ruszył pogardliwie ramionami, splunął, wreszcie pyta:

— Gospodarzu, co chcecie za to cielę?

— Jakie cielę? Dyć to krowa po drugiem cielęciu! Ślepiście, czy co? — odpowiada z gniewem właściciel.

— Krowa! krowa! Niech będzie krowa—kiedy tak chcecie... No? siłaż się ceni?

— Z targiem, czy bez targu?

http://rcin.org.pl

— Na jedno słowo... po co gębę psuć!

— Dacie trzydzieści papierków...?

— Siła? trzydzieści papierków! za takiego chmyza?! Czyście wy oszaleli, czy co? — wykrzykuje Uszer.

— Wasze pieniądze, moja krowa — odpowiada z flegmą chłopek, widząc, że się ku niemu zbliża kilka innych chałatowych postaci.

— Dobrzeście rzekli... wasza krowa.—Słuchajcie? weźmiecie dwadzieścia? Nie! a jeden dwadzieścia? Nie! No to stójcie sobie w błocie i czekajcie innego. Czy to jedna krowa na jarmarku! — woła Uszer i idzie dalej.

Teraz z gromady żydków wysunął się jeden, podchodzi do właściciela graniastej, ogląda i znów pyta:

— Gospodarzu, czy to na sprzedaj?

— A ino...

— Co dać? rzeknijcie słowo...

— Trzydzieści bitych...

Żydek zaczyna się śmiać.

— Gdzieście wy rozum podzieli! trzydzieści rubli za to cielę...! Czy wasza krowa ma w kiszkach cynamon!

— No, a siłaż obiecujecie? — pyta pokorniej, skonfudowany nieco chłopek.

— Ja sam nie wiem co dać... Takeście zacenili...

http://rcin.org.pl

Namyśla się niby, obmacuje bydlątko, wytykając wszelakie prawdziwe i nieprawdziwe wady.

— Dam ośmnaście rubli!—rzecze wreszcie.

— Co! a toć Uszer dwadzieścia dwa dawał! Spytajcie...

— To było brać... dawał, ale nie liczył. Bierzecie?

— Nie. Mniej dwudziestu ośmiu papierów nie wezmę. Zresztą rubla puszczę...

— Możecie puścić i pięć i dziesięć, także nie kupię—woła żydek i odchodzi, krzycząc z daleka: „piętnaście rubli, to wszystkie pieniądze!“

Teraz zbliża się trzeci kupiec.

Trzeci kupiec ogląda również graniastą, za dójki pociągnie, lecz nawet o cenę nie pyta i idzie dalej. Czwarty, piąty czynią toż samo, ruszając pogardliwie ramionami.

Chłopek czeka i czeka, zdobywając się na cierpliwość. Nakoniec porzuca taktykę odporną i przechodzi do działań zaczepnych.

— Hej! Mojsie! — woła na przechodzącego żydka. — Pójdźcie no, obejrzyjcie bydlątko, może wam się uda?...

— A cobyście chcieli? — pyta zagabnięty, dopełniając na grzbiecie graniastej taksy palcami.

— Wziąłbym dwadzieścia sześć — odpowiada po namyśle chłopek, spuszczając z tonu.

http://rcin.org.pl

— Wzięlibyście... ja wiem! żeby kto dał... Chcecie usłyszeć mądre słowo?—wykrzykuje Mojsie.

— Od tego jarmark. W targu gniewu niema...

— Wszystkie pieniądze... czternaście rubli!

— Co! Uszer dawał dwadzieścia i dwa, a nie brałem.

— Boście głupi. Trzeba było brać. Czternaście rubli to wszystkie pieniądze—wyrokuje ostatecznie Mojsie, odchodząc i zostawiając stroskanego chłopa z *zatargowaną* graniastą.

Podobne przetargi *in minus* odbywają się w dalszym ciągu pod przewodnictwem Uszera przy wszystkich przyprowadzonych na targowisko wiśniaszkach, kwiatulach, biedrulach i łaciatych.

Słońce skręciło już ku zachodowi, jaki taki zabiera się już ku domowi. Pobrykują ciągnięte za powróz bydlątka. Uszer teraz odbywa powrotną drogę i dobija targu.

Dostrzegł go zdala właściciel graniastej—woła:

— Uszer! pójdźcie ino. Cóż to nie skończywa?

— Ja myślałem, żeście już sprzedali — mówi Spokojny, podchodząc zwolna.

— Ja się ta zawdy pierwszego kupca trzymam—tłómaczy się chłopek.—No jakże!

— Niech od was wpierw usłyszę...

— Dacie dwadzieścia pięć?

— Nie kpijcie! nie kpijcie!

5

http://rcin.org.pl

A dwadzieścia cztery?

— Słuchajcie... Dam dwadzieścia bez rubla...

— A toć dawaliście dwadzieścia jeden — woła przygnębiony chłopek.

— Dawałem, alem się rozmyślił. Bydła nagnali, jest w czem wybrać... No bierzecie?

— Niechże już będzie, jak za pierwszym razem...—woła chłopek, wyciągając rękę dla przybicia zgody.

— Równe dwadzieścia dam. Ani grosza więcej. Takie ciele! Nie wiadomo jeszcze, czy *się zdarzy*.

— A bez cóżby się nie zdarzyło?—pyta zastraszony rytualnym felerem chłopek.

— Widzi mi się, że na flakach niezdrowa—tłómaczy Uszer. — No! nie bałamućcie! bierzecie, jak rzeklem?

Chłopek drapie się w głowę, wreszcie puszcza po pół złotku i przystaje na Uszerową cenę, wymawiając sobie *litkup*.

Uderzono w ręce na zgodę, przybito; graniasta wędruje do Uszerowej stajni, a chłopek, popijając *litkup*, opowiada o przebiegu sprzedaży innym siermiężnym dostawcom.

— Zawdy pedam, że pierwszy kupiec najlepszy. A Uszer, dobry żyd, nad niego nikt więcej nie da...

— Wiadoma rzecz—potwierdzają słuchacze.

http://rcin.org.pl

Tym sposobem z pomocą „konwencyi handlowej“ Uszer nietylko nabywa tanio, ale wyrabia sobie u klienteli opinię uczciwego, najlepiej płacącego nabywcy.

Po targu odbywa Uszer przegląd zakupionego bydła. Niektóre sztuki odstępuje od ręki z małym zarobkiem innym współwyznawcom, niektóre przeznacza na rzeź i oddaje w biegłe ręce „przysięgłego rzezaka,“ Nuchimka, inne wreszcie zatrzymuje do najbliższego jarmarku w celu sprzedaży „na chów.“

Doczekawszy najbliższego jarmarku w którem z miasteczek, wyprawia Uszer zakupione poprzednio „na chów“ sztuki. Tydzień tylko stały w jego oborce, a proszę zobaczyć jaka zmiana. Każda krówka gruba jak bąk, bo Uszer nie żałuje soli z wapnem, a wiadomo, że po takich specyałach bydlę czuje zgagę i pije straszliwie, że omal nie pęknie. Pod każdą krówką wymię zebrane, aż do ziemi. Bo i na to Uszer ma sposób, dobry sposób. Po pierwsze, na dwa dni przed sprzedażą nie każe krów doić, powtóre robi małą operacyę. Wiadomo, że pokrzywa parzy, że sparzone miejsce puchnie. Pokrzyw letnią porą nia brakuje nigdzie, więc też Uszer nie ma sobie czego żałować, a błogo, że ludziom jedna dobra dójka więcej przybędzie.

Wymię po *masażu* pokrzywami omal nie pęknie, najjałowsza krówka wygląda jak prawdziwa „holenderka“ po ocieleniu.

http://rcin.org.pl

Nic też dziwnego, że Uszer po takiem *przerobieniu* zarabia po dwadzieścia rubli na sztuce i więcej! Za dobry towar trzeba płacić.

Rzadko—ale zdarza się czasem, iż Uszer jedzie za kupnem bydła po dworach, wywiedziawszy się, gdzie i jakie sztuki są do sprzedania. W wycieczkach tych trzyma się odmiennego systemu. Najpierw wyprawia przodem jednego ze wspólników. Ten, obejrzawszy towar, po naradzie z pastuchem, ofiaruje śmiesznie niską cenę; rzecz prosta, że kupno nie przychodzi do skutku. W parę dni potem zjawia się sam Uszer niby przypadkiem. Zdarza się często, że akurat w dzień przyjazdu Uszera, sztuki, przeznaczone na sprzedaż, ciękną, smutnieją. Pastuch przypadkiem „za krótko" powiązał je do żłobu lub zapomniał na noc paszy zadać.

Uszer ogląda, obmacuje, wyrzeka, że mięso rzadkie, że bydło smutne, może chore, może jaka *epidemia* i po takiem preludium ofiaruje cenę cokolwiek wyższą od poprzednika.

Szlachcic, chociaż zastraszony, mimo raptownej zmiennej kondycyi bydła, upiera się przy swojem. Uszer dorzuca rubla, dwa na sztuce, a gdy i to nie pomaga, zabiera się do odjazdu, mówiąc:

— Już ja do wielmożnego pana szczęścia nie mam. Łońskiego roku, pamięta wielmożny pan? Kupiłem tego byczka. Zapłaciłem z kościami. Com ja stracił! *Nie zdarzył się*, a i łoju nic nie miał.

http://rcin.org.pl

U wielmożnego pana z przeproszeniem, musi być jakiś feler w oborze. Zapaskudzili, czy co! bo każde bydlę na wnętrzu ma krosty, a w kiszkach to wszystko spieczone, aż strach!

Po takiem *dictum* szlachcic mięknie. Zaczyna się przetarg na nowo i koniec końcem wymowny Uszer dobija targu, a pastuch bierze „rogowe,“ bo Uszer wie, co się komu należy.

W ten sposób przyczyniając się do rozwoju hodowli okolicznej, Uszer Spokojny położył już niemałe zasługi, ująwszy handel bydłem w prawidłowe karby. Prócz tego jako generalny dostawca koszernego i trefnego mięsa zasłużył sobie już na piękną kartę u wszystkich kucharek, kucharzy lub posłańców dworskich, wysyłanych do jego jatki po zrazówki, krzyżówki i polędwice Zdaje się, że on pierwszy rozpowszechnił na prowincyi piękny, a znany dobrze w Warszawie zwyczaj, zwany „koszykowem.“

Nie dość na tem. Uszer zna dobrze odżywczą wartość mięsa i wyższość tego pokarmu nad innemi. Wbrew więc przesądom, rozpowszechnionym przez zabobonną weterynaryę, nabywa czasem sztukę dotkniętą słabością, dożyna i towar z pomocą pachciarzy rozprzedaje, rozwożąc po wsiach okolicznych, po zniżonej cenie dla chłopów. Uszer wie, że i chłop potrzebuje kawałka mięsa.

http://rcin.org.pl

Trafia się również czasem, że Uszer Spokojny przywiezie nocą już nieżywe bydlątko z lasu, czasem już odarte ze skóry...

W parę dni potem opowiadają ludzie, że Maikowi krowę ukradli i zarżnęli w lesie.

— Oj, ci złodzieje! paskudniki! — wyrzeka Uszer.

http://rcin.org.pl

Mordka Winterkalt.

Było to w roku... kiedy jeszcze fiskus skarbu austryackiego nie podniósł akcyzy od okowity.

Miedzą pomiędzy niwami wyrosłego żyta i pszenicy szedł Mordka Winterkalt, zdążając do Komorowa, wioski nad granicą galicyjską położonej.

Widocznie śpieszyło mu się, bo choć chłód wieczorny rzeźwił, z twarzy Mordki spływały grube krople potu.

W oddali szarzały rzędy domostw i stodół.

Mordka, wydostawszy się na drożynę, wiodącą ku wsi, skręcił w opłotki i prawie pędem dobiegł do najbliższej chaty. Zastukał w przymknięte drzwi raz, drugi. Na progu pojawił się gospodarz, Wojtek Prażucha.

— No, Wojtek — zawołał, witając się Winterkalt—trzeba się zbierać. Jest robota. Chodźmy do izby—pogadamy.

Weszli.

— Widzisz, Wojtek—rozpoczął Mordka—trze-

http://rcin.org.pl

ba sobie dobrać kilku dobrych chłopów. Towar jest na drugim brzegu.

— A siłaż trza?

— Z dziesięciu. Pęcherki gotowe.

— A jak „obieszczyki“ przyłapią? Wczora bezkudy goniły Franka Drzazgę, musiał chłop rzucić wszystko i w nogi...

— Bo głupi. Z wami tak nie będzie. Albo wam to pierwszyzna...

— No jużci... ale zawdy nieprzezpiecznie. Wisła duża, trza na Budziska objeżdżać, a tam „postój.“

— Już ja tak zrobię, że „postoju“ nie będzie — upewniał żyd.

— A gdzieżby się podział?

— Słuchaj, Wojtek! masz brzydką naturę, co się lubisz spierać. To nie twoja rzecz...

— Nie moja rzecz?!—podchwycił chłop.—A jak przyłapią, to komu bieda?

— Nie bądź głupi! Jeszcze nie złapali, a choćby złapali... to wielki gwałt! Co ci wezmą? Gospodarstwo przepisałeś na żonę... najwyżej koza... parę dni... To ci dziwne! czy co?!

— Dobrze wam gadać... teraz żniwa...

— Żniwa... żniwa! Wojtek, czy tobie potrzeba na „pańskie“ chodzić? za głupie dwa złote cały dzień mitrężyć? Ty raz przyniesiesz kilka garncy okowity i masz parę rubli. Ty wiesz, że z Mordką *handlować* można.

http://rcin.org.pl

Jużci sobie nie krzywduję, choć ostatnim razem toście mi *potrącili*...

— *Potrąciłem!* bo w jednej macherzynie brakło blisko pół garnca... Ale co tam o tem gadać! Idziecie?

— Poszłoby się... jeno, że teraz strach, jak pilnują!...

— Już wam mówiłem, żebyście się „postoju“ nie bali. Moja w tem głowa.

— Jakże wy myślicie wyrychtować? Gadajcie!—spytał na pół przekonany Wojtek.

— Jakto? Zrobię denuncyacyę...

— Co?! to jeszcze pewniej chwycą...

— Nie przerywajcie. Wy, Franek, Ignac i jeszcze ze dwóch pójdziecie na „drugą stronę“ jak zwykle przejedziecie łódką na Budziska i tamtędy z towarem będziecie wracali. A Jasiek Miśtal, Wawrzek i Jędracha pójdą na Rataje z pustemi baryłkami. Ja tak urządzę, że na komorze będzie wiadomo, że tamtędy pójdzie szwarc. I koniec! Kapitan i obieszczyki będą gonili Jaśka i Jędrachę w Ratajach, a wy bezpiecznie z macherzynami pójdziecie przez Budziska do samej Oleśnicy, a ja tam będę z furmanką...

— Nieźleby to było i tak, jeno jak Jędrachę przyłapią?...

— To co? Wezmą puste baryłki. Wielka

http://rcin.org.pl

rzecz! No, nie spierajcie się. Towar u Berka jest gotowy, wam trzeba tylko iść i przynieść. Zgoda!

— Jak trza, to trza! ale pamiętajcie Mordka, żeby nijakich potrącań nie było i pieniądze na stół!

— Będą, będą... więc jutro przed północkiem w drogę! Ja wrócę do Oleśnicy i zaczekam na was. Nie bójcie się, „postoju“ nie będzie.

W ten sposób Mordka Winterkalt, obchodząc „swoich ludzi“ po nadgranicznych wioskach, urządza wyprawy *za szwarcem*. Czasem zdarzało się, że mimo *denuncyacyi*, straż graniczna chwytała bandę szwarcowników, nie jeden z czynnych popleczników wolnego handlu przypłacał taką ekskursyę mieniem, odsiadywał kozę, ale Mordce Winterkaltowi włos z głowy nie spadł.

Przyłapani chłopi milczeli, a któżby się w niepozornym żydku, chodzącym po wsiach za kupnem skórek, domyślił genialnego wodza kontrabandzistów?

Tak było przez lat parę. Mordka *dorobił* się znacznego majątku, lecz procederu nie zarzucił, zaprowadziwszy nawet niejakie ulepszenia w transportowaniu okowity. Między innemi wyznaczył dla zachęty „premię wwozową“, polegającą na tem, iż szwarcownik, który przyniósł dziesięć garncy spirytusu, prócz normalnej zapłaty pół rubelka od „macherzyny“, dostawał jeszcze kwartę szwarcówki dla siebie.

http://rcin.org.pl

I było mu dobrze, choć pozornie nie zmienił trybu życia, nie kupił żadnej nieruchomości, gdyż przezorność godna pochwały nakazywała mu ukrywanie do czasu zdobytego *ciężką pracą* mienia.

I zapewne jeszcze długo mógłby się Mordka cieszyć tak dobrze zorganizowanem przedsiębiorstwem, gdyby nie skarbowość austryacka, która podniosła akcyzę od wódki.

W tych warunkach szwarc okowity przestał się opłacać. Zmartwił się Mordka niezmiernie i począł szukać „nowych kierunków“ dla swej pracy. Mając już wyrobione stosunki za granicą, jako zacięty przeciwnik wszelkich ceł, postanowił, zmieniwszy rodzaj towaru, w dalszym ciągu komunikacyę z „drugą stroną“ utrzymać.

Szło mu nieco trudniej, ale szło. *Agencya szwarcownicza* Mordki Winterkalta dostarczała okolicznym i dalszym odbiorcom towarów łokciowych, galanteryjnych, norymberszczyzny, nawet wyrobów żelaznych. Wszystkiego zresztą podejmował się dostarczyć Mordka, ale na ryzyko nabywcy, a na plecach chłopskich, nie przyjmując jednak odpowiedzialności za całość transportu.

Prócz tego z nadejściem tych tak ciężkich dla przemysłu szwarcowniczego czasów, wziął się sam osobiście do ułatwiania formalności celnych.

Pomiętny dawnych przyjaznych stosunków z chłopami, starał się przedewszystkiem o zaspoko-

http://rcin.org.pl

jenie potrzeb ludu tanim kosztem. Lubił zresztą wygodzić każdemu, więc kłusownikom, od których następnie nabywał zwierzynę i skórki, donosił za psie pieniądze zagraniczny proch, czasem przyniósł ładne *lufki*, czasem nawet pistolet lub rewolwer na zamówienie. Główną jednak specyalnością Mordki była dostawa i handel... koralami.

Towar to bardzo podatny, bo przy przenoszeniu bezpieczny, a dający zysk okazały.

Co tydzień prawie urządzał Mordka za legalnym „pasportem“ wyprawę za granicę po korale.

Chodził zwykle piechotą z parasolem, i choć na komorze rewidowali Mordkę skruputalnie, nigdy nic nie znaleźli. A jednak Mordka miał zawsze towaru za kilkadziesiąt rubli. A gdzie go miał? Wtem właśnie cały sekret! cała sztuka.

I zapewne niktby się o tej sztuce nie dowiedział gdyby nie brzydki wypadek z deszczem.

Przyszedł raz Mordka na komorę. Jak zwykle, postawił duży biały, z żaglowego płótna, parasol, w kącie w sieni i idzie do rewizyi. Szukają. Niema nic. Podpisali półpasek, Mordka skłonił się grzecznie, wychodzi, patrzy, niema parasola! Zbladł jak ściana, chciał uciekać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Na dworze deszcz lał jak z cebra i pewnie Mordka straciwszy parasol, bał się przemoknięcia...

Tak myśleli niektórzy urzędnicy i zaczęli nawet kpić z Mordki.

http://rcin.org.pl

Tymczasem to nie były kpiny, ale całkiem brzydki interes, jak się o tem zaraz przekonano od starego wachmistrza, który był na służbie, i teraz właśnie nadbiegł pędem z parasolem do kancelaryi.

Wachmistrz potrzebował na chwilkę wyjść na dwór, zobaczył stojący w kącie parasol Mordki, wziął go na tymczasem, bo deszcz kropił. Kiedy otworzył, a przyszło mu to z trudnością, bo sprężyny były zardzewiałe, aż krzyknął.

Tak opowiadał wachmistrz demonstrując w kancelaryi *corpus delicti*... parasol, w którego środku na lasce owinięte było kilka biczów korali...

Sprawa się wydała. Mordka stracił przez konfiskatę kilkadziesiąt rubli, siedział w kozie, a w dodatku musiał się wynieść w inną okolicę, bo tu już był *za bardzo znany*.

http://rcin.org.pl

Berek i Ryfka Liebesfeindowie.

Jak w ręku dzielnego wodza garstka wojska większą nieraz potęgę łamie, tak i drobny kapitał w obrotnej dłoni za tysiące starczy.

Kiedy się pobrali Berek z Ryfką i osiedli na wsi, mieli całej gotówki siedemdziesiąt pięć rubli, trochę ruchomości, jak łóżko, pościel, wagę dziesiętną i łokieć. Berek liczył lat 18, Ryfka nieco więcej. Mógł Berek przy swej urodzie i zdatności lepszą partyę zrobić, mógł się ożenić w mieście z jaką familiantką, córką grubego pieniężnika, lecz drobna przeszkoda stanęła na zawadzie.

Berek Libesfeind był *mamzel*; jest to feler w urodzeniu wielki, z którym bardzo rachuje się arystokracya rodowa mojżeszowego wyznania. Jako *mamzel* miał Berek wstęp do znakomitszych domów zamknięty i musiał sobie szukać żony wśród demokratycznej sfery pachciarskiej, skwitowawszy z korzystniejszej matrymonialnej karyery.

http://rcin.org.pl

Dziś Berek tego nie żałuje, a choć dał trzydzieści rubli w kahale za wyrównanie rodowodu, choć teraz jest zapisany w księdze Lewich, ceni Ryfkę wysoko i z lubością wspomina chwilę miodowych miesięcy, kiedy to obydwoje z koszykiem w ręku, pełnym makagigów, pierników i miodowników, biegali z chaty, wymieniając słodki towar na jaja, skórki, kury i gęsi.

Miło wspomnieć przeszłość tak uroczą i owocną, siedząc we własnym sklepie!

A sklep to nielada! od podłogi do powały założony towarem w najlepszym gatunku. Czego tam nie ma?!

Jest mydło, cukier, sól, nafta, smarowidło, powrozy, kawa, smoła, tytoń, śledzie, chleb i bułki własnego wypieku, jest herbata i kawa, ałun, olej rycinowy i inne medykamenta, słowem wszystko, czego dusza chłopska zapragnie.

Jest i towar łokciowy.

Zakupy robią Liebesfeindowie zawsze z pierwszej ręki; niektóre towary, jak kawa, herbata, sprowadzają wprost z fabryki, inne, zwłaszcza słodycze, chętnie nabywane przez dzieci włościańskie, wyrabiają na miejscu, w sąsiedniej izbie.

Bo trzeba wiedzieć, że zarówno Berek, jak Ryfka, znają się wybornie na chemii stosowanej.

Ryfka własnoręcznie przyrządza smakołyki, a choć nie czytała żadnych „przepisów“, proszę

http://rcin.org.pl

przypatrzeć się wyrobowi np. pierników, słynących wśród dziatwy wiejskiej w całej okolicy. Do garnca żytniej mąki wlewa się pół kwarty melasu i urabia się razem na masę. Przygotowane ciasto wałkuje się na stolnicy, mytej dwa razy do roku. Następnię rozwałkowane w kształt placka ciasto posypuje się kminkiem i wsadza na ostry ogień do chlebowego pieca. W pół godziny piernik gotów, należy go tylko na odpowiednie kawałki pociąć i na różny kolor polukrować. W tym celu bierze się trochę miałkiego cukru, rozbija się z białkiem z dodatkiem właściwej farby według gustu. Ryfka ma upodobanie w niebieskim kolorze, bo ta barwa miła oku, a farbki do bielizny „ultramariny“ w sklepie nie brakuje.

Ale wróćmy do samego sklepu.

Aczkolwiek mieści on towar wyborowy i do codziennego użytku potrzebny, nie byłby jednak przypuszczalnie tak licznie nawiedzanym, zwłaszcza wobec konkurencyi pobliskich miasteczek, gdyby jego właściciele nie zaprowadzili systemu handlowego, bardzo wygodnego dla stron obu.

System ten nader prosty, stosowany z powodzeniem w Afryce przez Anglików, zasadza się na wymianie produktów.

Wiadomo, że pieniądz jest okrągły, więc się toczy i trudno go utrzymać; wiadomo również, że grosz gotowy nie zawsze mieć można, zwłaszcza na wsi, gdzie przy utrudnionych środkach komunika-

http://rcin.org.pl

cyjnych o regularnym dopływie gotówki nie może być mowy.

Z tej racyi wychodząc, Berek i Ryfka Liebesfeindowie zaprowadzili, prócz sprzedaży za gotówkę i sprzedaż zamienną. Byle dzieciak, co się na pieniądzach nie zna i nigdy bodaj trojaka w ręku nie miał, mógł w sklepie Liebesfeindów za przyniesione jajko dostać kawałek piernika, za dwa cztery—sztuki karmelków *Landrina*, za pięć—paczkę *papirusów* razem z pudełkiem siarczanych zapałek.

Ryfka, będąc matką kilkorga bachorków, sama bardzo lubiła dzieci i z wielką łaskawością traktowała nieletnich kundmanów.

Bywało—kilkoletni malec wymknie się rankiem z chałupy i biegnie chyłkiem, skradając się, ku sklepowi. Widzi to Ryfka, uchyla tylne drzwi i puszcza malca do środka. Ryfka wie, że uczucia rodzicielskie nie są dość w ludzie prostym rozwinięte. Mógłby ojciec lub matka dostrzedz, mogliby chłopcu krzywdę jaką wyrządzić. Tkliwe serce Ryfki zapobiega tej ewentualności.

Wpuszczony cichaczem chłopak wyjmuje z zanadrza jajka. Ryfka skwapliwie chowa je do szuflady i pyta:

— Józek, co bierzesz? miodownika? czy karmelki?

— Dajcie lepiej *papirusów!*

— Idź, głupi, za dwa jajka?

http://rcin.org.pl

— To wam później doniosę, ino matula w pole pójdą...

— Doniesiesz? a może w chałupie niema więcej jajek!

— O! albo to ja nie wiem—zapewnia Józek.— Jeszcze cztery kurki siedzą pod przypieckiem.

— No! to pamiętaj — napomina Ryfka, dając żądany towar. — Jakbyś nie przyniósł Józek, to zaraz przed matką poskarżę—jaki z ciebie smyk! Pamiętaj! jeszcze dwa jaja należy mi się od ciebie, a jak przyniesiesz trzy, to ci dodam miodownika!

I chłopak nie zawiedzie—raz z obawy oskarżenia, powtóre dlatego, żeby raz na zawsze kredyt stracił. Wprawdzie matka wyrzeka, że kury jaja gubią, i odgraża się, kuksając Józka, że gadzinę na dwór powypuszczał, ale co to pomoże. Józek jajka podebrał, Ryfce odniósł, bo trzeba stawić się w słowie.

Zdarza się również czasem, iż małżeństwo żyje z sobą w niezgodzie, chłop sobie, a baba sobie. Jedno drugiemu wyrywa, każde ciągnie w swoją stronę, czasami się nawet pobiją, pokaleczą, zwyczajnie grubiański naród.

Z takiem małżeństwem można handlować, ale tylko osobno z mężem, a osobno z żoną, inaczej zamiast targu będzie wrzask i bijatyka. Wie o tem Ryfka, wie o tem i Berek. Więc Berek idzie do chałupy niby z interesem i zagaduje kłótliwego chłopa,

http://rcin.org.pl

a tymczasem do sklepu biegnie chłopka z dwoma gęsiami pod pazuchą.

Ryfka wita ją mile, rozkłada towar łokciowy, dobiera się do gustu, na kieckę, na gorset...

Chłopka z przyzwyczajenia radaby się targować, ale na to czasu nie ma.

Spieszcie się! spieszcie! a nuż „wasz“ nadejdzie!

— Kiej krzynę drogo!

— Nie bałamućcie! czy to pieniędźmi płacicie! Uchowaliście gęsi, to wam się słusznie nowy przyodziewek patrzy... Przecie to wasza praca, a nie tego waszego rozbójnika, co ćwiartkami zboże do karczmy wynosi.

— Oj! pewno, że bezkuda wynosi! a mnie, swej kobiecie, to na lichą szmatę żałuje — żali się chłopka.

— A widzicie!—potakuje Ryfka, mierząc ułomnym łokciem żółty barchan w zielone kwiaty.

Tymczasem Berek radzi pod nieobecnośc żony mężowi.

— Co tam będziecie pytali na „waszą!“ zwyczajnie babskie gadanie! Sprzedajcie mi ćwiartkę zboża, będziecie mieli na swoją potrzebę. Płacę *baares Geld!*

— A jak się moja dowie?

— Wynieście teraz w worku za stodołę, a wieczorkiem zaniesiecie do mnie.

http://rcin.org.pl

— Zgoda. Ale mi teraz przyszlijcie paczkę *szwicentu*...

— Po co przysyłać. Ja wam już przyniosłem tak z dobrej chęci— mówi Berek, wyjmując z chałata zwitek tytuniu.

Wieczorem ćwiartka zboża wędrowała do komory Berka, a choć nazajutrz chłopka dostrzegła ubytek w ziarnie, a chłop zauważył brak dwóch gęsi, obopólne wykroczenia łagodziły winę i kończyło się zwykle na ucinkowem dogadywaniu.

— Jużeś znów garstkę zboża przepaskudził!

— Nie wymawiaj! bo ci się spytam o gęsi, strojnico! — groził chłop.

Tym sposobem, dzięki mądrej taktyce Berka i Ryfki, namiętności cichły, godząc się, jak zwykle, z faktem dokonanym.

Tak więc zacna para sklepikarzy, nie nadwerężając zgody małżeńskiej, nie wodząc na pokuszenie rodzicielskiej surowości, potrafiła sobie wyrobić w sferze „zakazanej“ nawet, liczną klientelę, zyskawszy, prócz zarobku, bezgraniczną wdzięczność i zaufanie.

Rzecz prosta, że o wiele łatwiej szło Liebesfeindom w normalnych warunkach, gdy małżonkowie, żyjący w zgodzie, zachodzili do sklepu po sprawunki, lub gdy małoletność nie stawała na zawadzie.

http://rcin.org.pl

Wtedy kwestyę targu rozstrzygało trafienie do gustu, czasem *borg* lub oszacowanie przyniesionych w zamian produktów. A pod tym względem Liebesfeindowie doszli do mistrzowskiej wprawy. Berek wiedział, że Michał zażywa tylko *francuską* tabakę, że Ignac łakomy na śledzie *mleczaki*. Ryfka również znała na wylot upodobanie kobiet. Jagnie Kaliciance raiła na gorset prawdziwy *welwet*, Majkowej dobrała jak raz! na barchankę, resztę ponsowego tartanu i dopuściła przy przemiarce, Józce na dworski wyżynek sama wplotła w wianek różowe i zielone wstążki, nie biorąc za fatygę nic zgoła i czekając na zapłatę do młocki dworskiej koniczyny, którą zwykle Józka podsiewała.

Jak już powiedziałem, w sklepie Liebesfeindów panował wszechwładnie system kredytowo-zamienny; obroty na gotówkę do wyjątków należały. System powyższy miał podwójnie dobrą stronę. Po pierwsze, z jednej godziny robił dwie i z jednego rubla dwukrotne dawał zyski. Sprzedając na zamianę, równocześnie w tejże samej chwili przemieniali się Liebesfeindowie w kupujących; wzięła Berkowa za dwa łokcie wstawki kurę, to, rzecz prosta, zarabiała na sprzedaży wstawki i na kupnie kury. Zarabiała również i za względność, że się nie napierała gotowych pieniędzy. Dawał Berek Matusowi na *borg* tytuń i zapisywał kredką na ścianie, przyszedł czas obrachunku, Matus omłócił korczyk żyta,

http://rcin.org.pl

porachowali się, a za procent odwiózł jeszcze Matus ziarno na targ do miasteczka.

Wygoda za wygodę.

Prócz przytoczonych powyżej ułatwień, nie lubiąca sporów natura Liebesfeindów, zdobyła się na znakomite ulepszenia w wagach i miarach.

W zwykłem teoretycznem pojęciu, łokieć łokciowi, a funt funtowi równy, w praktyce zdarza się czasem inaczej. Wiadomo, że funty dzielą się na łuty, łokieć na cale. Jeżeli przeto funt cukru, mający 32 łuty, kosztuje łącznie z kupieckim zarobkiem szesnaście kopiejek, to, rzecz prosta, taniej sprzedanym być nie może.

Ale co robić z upartym chłopem, grundalem, gdy nie chce dać tylko 14 kopiejek za taki funt słodyczy? Czy mu nie dać i pozwolić, żeby pił herbatę na gorzko, żeby stracił smak do zdrowego napoju i wziął się do wódki?

Głupi kupiec bez handlowej edukacyi z pewnością zrobiłby tak. Lecz Berek i Ryfka nie. Targują się z początku do upadłego, a gdy widzą, że nie pomaga, *puszczają*...

— Niech będzie po waszemu, Macieju — mówi Berek do upartego chłopka. — Dla was tym razem sprzedam ze stratą... ale pamiętajcie, jak będziecie jechali na jarmark, to się do was przysiądę...

— A toć mi woza nie ubędzie...

— Ny! to już zgoda. *Ryfka gib a kleines*

http://rcin.org.pl

funt cuker a fürzen kopejkes — dyryguje Berek i niebawem uradowany z taniego kupna chłopek idzie do domu, rozmyślając:

— Jednako z Berka zgodny żyd. Całe cztery grosze puścił na funcie.

A Berek z Ryfką śmieją się w kułak, bo odważyli cukier na *małe*, dwudziestoośmiołutowe funty.

Podobnie jak funty, są i łokcie w podwójnym gatunku, małe i duże, są kwarty i garnce dwojakie. Jak komu i jak kiedy!

Oprócz tego do grubszych rachunków jest ćwierć 7-o i 10-o garncowa i waga decymalna, której urządzenie wystudyował Berek znakomicie.

Niemały przytem zarobek daje sam towar, jeśli się go bierze z pierwszej ręki albo wprost z fabryki, a czasami nawet wyrabia na miejscu.

Ma zagranica „prawdziwą kawę figową,“ ma i Berek prawdziwą kawę z przypalonego łubinu. Produkt tani a zdrowy, bo przecież chłop nie owca, żeby na „łubinozę“ zachorował. Herbata, nabyta u Liebesfeindów, nie jest wprawdzie „karawanowa,“ ale za to naciąga silnie. Z małej szczypty można zrobić pół garnca napitku, mniej szkodliwego zdrowiu, bo nie zawiera wcale „teiny,“ a przypomina smakiem kiszoną kapustę, kolorem zaś wypaloną cegłę.

http://rcin.org.pl

Raz zrobili w sklepiku Liebesfeindów rewizyę i znaleźli dużo paczek z etykietami i całą faskę wysuszonego liścia, niewiadomo, z jakiego pochodzącego krzewu. Źli ludzie *obnieśli* później, że Berek liście farbował cynobrem, zawijał w paczki i sprzedawał za herbatę.

Oj! te języki!

Czego zresztą ludzie nie gadali. Gadali, że od Berkowych cukierków dziecko Paluszyny zmarło, a to był zwyczajny „urok"; gadali, że w mące trafiały się bryłki gipsu, a olej zalatywał terpentyną i wiele jeszcze innych brzydkich rzeczy zawiść ludzka wymyśliła.

Ale co to Berkowi i Ryfce szkodzi. Odbyt jest, utargowanie jest. Uczciwej pracy zawsze szczęście sprzyja, a złe gadanie ludzkie nic nie zaszkodzi.

Dziś Berek i Ryfka Liebesfeindowie mają już sklep we własnym domu, mają na pożyczkach u ludzi paręset rubli, a i żyją, jak Bóg przykazał, edukując dzieci. W sabat do rybki i łoksiny siada u Liebesfeindów dziesięć osób. Ich dwoje, siedmioro bachorków i belfer.

I to wszystko żyje z procentu od wkładowego kapitału 75 rubli!!

http://rcin.org.pl

Tak pracują żydzi, a przynajmniej większość wybranego ludu, bo na szczęście są wyjątki, o czem zapominać nie należy.

Do przeciwdziałania kultowi *takiej pracy*, będącej uzasadnioną przyczyną i jedynym bodźcem antisemityzmu, przyczyniać się winien każdy, kochający ogół społeczny.

Pisząc „*Żydów przy pracy*“—ten cel miałem na myśli.

Ze zbiorów ... I. I. Michalskich

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

DRUKARNIA

Rubieszewskiego i Wrotnowskiego

w Warszawie, Nowy-Świat Nr. 34

przyjmuje do druku i wykonywa starannie książki, cenniki, roboty biurowe i wszelkie inne.

Nakładem naszym wyszły z druku i są do nabycia:

Początek, przyszłość i koniec ziemi, przez *Erazma Majewskiego.* Cena rs. 1 z przesyłką.

„365 obiadów" — Historya o kilku osobach i jednej książce, przez *Arwora.* Cena kop. 40.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

F
22.180

http://rcin.org.pl